

Wyd. A,

(art)

ZYWOŹY KRÓLÓW

FELIKS KIRYK

Droży Czytelnicy, w numerze świątecznym na Boże Narodzenie 1982 r. rozpoczęliśmy druk „Żywotów królów” pióra znakomitego krakowskiego historyka Feliksa Kiryka. Pragnąc zachęcić do jego lektury nieprzypadkowo wybrałmy, jak to się mówi na pierwszy ogień, sylwetkę Kazimierza Wielkiego. Chcąc dziś zadośćuczynić wymogom chronologii, a wiemy, że cykl ma wiernych Czytelników, którzy kolejne odcinki wycinają i kompletują — postanowiliśmy powtórzyć żywot tego władcy.

„Za jego czasów żaden z potężnych panów lub szlachty nie śmiał biednemu gwałtu czynić — wszyscy sędziło się według szali sprawiedliwości. Kto tylko popełniał tożostwa lub kradzieże, chociażby to była szlachta, tego kazali ścinać, topić i głodem moryć... Oszczerców zaś, gdy ich znajdował, kazali piętnować na twarzy rozpalonym żelazem... Królewską uroczystą koronę rzucił on powierzonym mu przez Boga państwu i narodem dzielnie i z pożytkiem. Albowiem milował pokój, prawdę i sprawiedliwych”.

(Z kroniki Janika z Czarnkowa)

W dniu 30 kwietnia 1310 r. w miasteczku Kowal na Kujawach księżna Jadwiga powiła Władysławowi Łokietkowi najmłodszego syna. Na chrzcie otrzymał on imię Kazimierz, które nosił jego dziad po matce, Kazimierz książę brzesko-kujawski. Dzieciństwo spędził w gronie sióstr (bracia bowiem zmarli wcześniej: Stefan w

1306 a Władysław w 1312 r.) pod troskliwym okiem matki. Już w drugim roku życia stał się jedynym dziedzicem Łokietka i wielką nadzieją jego na przyszłość. Nie dziwne go zatem, że zapewniono mu wychowanie staranne i podda-no oddziaływaniu najlepszych nauczycieli. Przyszły fundator uniwersytetu krakowskiego nauczył się pisać i czytać, co więcej, biegła w piśmie była też starsza odcie o pięć lat Elżbieta, późniejsza królowa węgierska, a z pewnością również pozostałe siostry. Kunegunda (wydana potem za Bernarda księcia świdnickiego) oraz Jadwiga. Rósł i rozwijał się na zamku krakowskim, gdzie zaszczepiono mu obyczaj rycerski i nadmierną skłonność do polowań. Rychło zauważono również, że jednak królewski stał się młodzieńcem rosnącym, przystojnym i zdradającym wcześniej skłonność do kobiet. Przerodziła się ona z czasem w stałą cechę natury królewicza, co wynikało z pewnością z faktu, że nauczyciele i wychowawcy folgowali zbyt chętnie zachciankom młodzieńca i pozwalali mu w tej mierze na więcej, niż byli powinni.

W dziesiątym roku życia przeżył największy triumf swojego ojca, mianowicie jego koronację na początku 1320 r. na króla Polski, a w pół roku później ślub swojej ukończającej siostry Elżbiety z Karolem Robertem królem węgierskim, obwierający przed Kazimierzem możliwości poznania ludzi z krajów należących do korony Św. Szczepana, tamtejsze stosunki polityczne i kulturalne. Królewicz polski okazał się bystrzym obserwatorem, a wyjazdy na Węgry dały mu nie tylko pełną ogładę dworską i pogłębiły jeszcze skłonności do korzystania z życia, lecz także zapoznały go z zawilosciami dyplomacji i nowoczesnymi metodami spr-

KAZIMIERZ WIELKI

wowania władzy królewskiej. Dwór węgierski, będący emanacją monarchii środkowofrancuskich i włoskich, stanowił dla królewicza znakomity punkt obserwacji wydarzeń w Europie, szkołę dyplomacji i rządzenia. Był to także dwór grupujący nie stroniących od uczonych dysput intelektualistów, a także uprawiających różne dziedziny sztuki i rozrywki artystów, nie mówiąc już o chętnych do nadskakiwania dworakach czy też całych zastępach pięknych i złotych dworów. Dwór taki wiele uczył, ale też pociągał możliwościami zabawienia się pod skrzydłami Bachusa i urokami Wenery.

Siabosci królewicza nie były tajemnicą. Był jednak bardzo młody i nierzadko zapadał na zdrowiu, a nadto był jedynym następcą starego króla. Jedynakom pozwalała się na wiele i wiele im się wybacza. Mimo tego twarzą rzeczywistość polityczną nie pozwoili Łokietkowi czekać na pełną dojrzałość swą. Dążąc do złagodzenia napięcia z Czechami starał się dła już w 1322 r. o rękę Judyty (Jutty) Dobrotliwej, córki króla czeskiego, Jana Luksemburskiego. Do małżeństwa dwunastoletniego Kazimierza jednak nie do-

szło, gdyż strona czeska zerwała zaręczyny. Warto przy tym nadmienić, że Judyta Dobrotliwa jeszcze czterokrotnie przyjmowała zaręczyny i odrzucała kandydatów do jej ręki. W końcu została żoną dopiero szóstego z kolei kawalera, Jana Dobrego księcia Normandii, późniejszego króla francuskiego.

W 1325 r. Łokietek zapewnił Kazimierzowi rękę urodziwej Aldony, córki Giedymina księcia litewskiego, a z nią sojusz z sąsiadem północno-wschodnim i zwolnienie wielkiej rzeszy jeńców polskich z niewoli. Młodszą Aldonę sprowadzono do Krakowa, nauczono początków języka polskiego i nowej dla niej wiary, po czym zaślubiłno królewiczowi, wyprawiając wesele „z królewskim przepychem i radością powszechną”. Związek Kazimierza z Aldoną, która na chrzcie otrzymała imię Anna, trwał 14 lat. Zeszła ona ze świata przedwcześnie w 1339 r., pozostawiając jedynie córki Elżbietę i Kunegundę. Pożycie jej z mężem, według opinii Jana Długosza, nie było złe, gdyż Aldona była „niebiaśnią uczciwą, z mężem i królem zgodnie żyjącą, dla ludzi pobożnych i biednych łaskawa i dobroczynna, ale tańcem, zabawom i uciechom światowym nazbyt oddaną”. Ale Kazimierz nie znał i nie wybierał Aldony na żonę. Nie potrafił obdarzyć jej też głębszym uczuciem. Z upływem czasu ognisko rodzinne przestało go pociągać. Oddawał się za to z zapałem rozmaitym miłosnikom.

Jedną z nich posiadał związek z debiutem dyplomatycznym królewicza, który w 1329 r. został wysłany przez ojca na dwór węgierski do Wyszehradu w celu zaciśnięcia sojuszu z Węgrami, skierowanego przeciw zagrożeniu luksembursko-krzyżackiemu Polski. Miała ona jednak finał tragiczny. Dziewiętnastoletni Kazimierz poznał wśród licznych dworaków swojej siostry Elżbiety królowej węgierskiej, piękną i niepospolitą. Była to Klara, córka rycerza i piosenki królewskiego, Felicjana Zacha. Romans ich nie zwrócił

(CIAŁ DALSZY NA STR. 4)

Profesor ADAM SZYMUSIK kierownik Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie został we wrześniu 1976 roku szefem komisji psychiatry sądowej Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Jest wybitnym znawcą przedmiotu. Organizuje sympozja na temat aktualnego stanu orzecznictwa sądowo-psychiatrycznego w Polsce. Klinika, której kieruje, prowadzi kursy doskonalące biegłych sądowych w dziedzinie psychiatrii.

— Panie Profesorze, spór o psychiatrię trwa. Ścierają się odmienne poglądy na „człowieka chorego” wyznawane przez różne szkoły psychiatryczne. Odmiennym sposobem patrzenia na pacjenta odpowiadają określone koncepcje prawne; jedni przyznają lekarzom niemal nieograniczone prawo do decydowania o losach chorego, drudzy ograniczają do niezbędnego minimum przymus leczenia i nadzwyczajne uprawnienia psychiatrów. Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego wciąż nie ma. Jak na tym tle radzi sobie psychiatria sądowa? Wiadomo, że orzecznictwo sądowo-psychiatryczne, problemy jego niezależności i trafności, a także tajemnicy lekarskiej raz po raz ujawniają w praktyce swoją — że tak powiem „drapieżność”.

— Składa się na to wiele przyczyn. Zarówno medycznych, jak i pozamedycznych. To prawda, że psychiatria sądowa jako dziedzina wiedzy rozwija się dynamicznie. Powstają nowe kliniki, sekcje naukowe, na zjazdach psychiatrów omawiamy problemy, które niesie współczesność. A jednak jakość usług sądowo-psychiatrycznych jest niezadowalająca, a niekiedy wręcz niska. Niektórzy lekarze wciąż jeszcze nie zwracają uwagi na środowiskowe uwarunkowania czynów człowieka. Niestety psychiatria popełnia wiele błędów poprzez swych przedstawicieli! Np. wątpliwości budzi opiniowanie o istnieniu poważnego niebezpieczeństwa dla porządku prawnego w odniesieniu do przypadków banalnych przestępstw, kradzieży. Albo: niektórzy biegli chcą ratować podsądnych zbyt często traktując stwierdzenia o zniesionej lub znacznie ograniczonej poczytalności jako rodzaj przywileju lub dobrodziejstwa. A to nie tak! Zawsze potem takimi przywilej obraca się przeciw człowiekowi, do którego przylegają „wariackie papiery”.

— Czasem te błędy, o których Pan mówi, wypływają z najlepszych intencji. Ale czasem z niedouczenia, pośpiechu, przeciążenia pracą...

— Tak jest. W ich wyniku zdarza się, że społeczeństwo odbiera nasze spory w sali sądowej jako subiektywne oceny pozbawione dostatecznego uzasadnienia naukowego.

— Przed rokiem czytałem w „Forum” wywiad — zdenerowanie opinii dwu słynnych psychiatrów amerykańskich, na ten właśnie temat. Podczas gdy jeden z nich dr Bernard Diamond z Uniwersytetu Kalifornijskiego bronił prawa biegłych („są najlepiej poinformowanymi ekspertami”) do orzekania o poczytalności oskarżonych — drugi, Lee Coleman, dyrektor Ośrodka Badań nad Zeznaniami Psychiatrów w Berkeley wyraził się wprost: „Żaden psychiatra nie może wiedzieć, co myślał oskarżony w chwili, gdy popełniał przestępstwo. On tylko może sobie do woli spekulować. Psychiatria jest pseudonauka. Nie ma dla niej miejsca na sali sądowej. Psychiatry nie powinni określać jak karać ludzi. Rodzi to brak szacunku dla systemu prawnego i nie jest dobrym sposobem czynienia ludzi odpowiedzialnymi za swe zachowanie”.

— A jednak istnieją przestępcy nie poczytalni, musi więc istnieć i ich obrona.

— I dla mnie to jasne. A jednak z przekonywujących sformułowań Colemanem warto chyba zapamiętać to, co z nich głównie wynika: ostrzeżenie psychiatrów przed nadmierną pewnością siebie.

— Tak jest. Nie mamy patentu na nieomyślność. Psychiatra nie powinien być wyjątkiem, powinien być kontrolowany jak każdy. Tym bardziej, że już mieliśmy takie różne przypadki... Przecież lekarz może być głupi, może mieć złą wolę, może ulegać czyszej presji, może „pójść na rękę” rodzinie, która pragnie pozbyć się niewygodnego domownika.

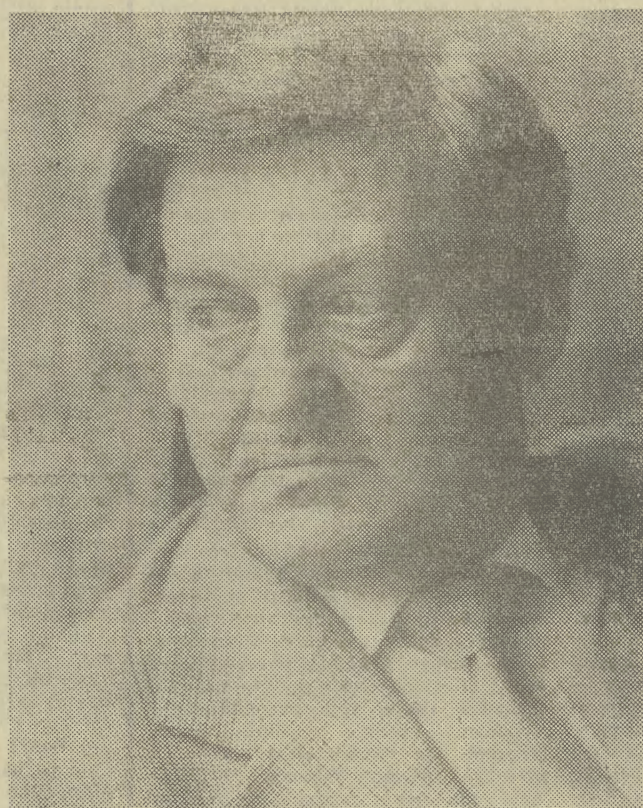
— Może też siedzieć w sądzie u kłami...

— Są tacy ludzie. To bardzo istotne — sprawa wszelkich uzależnień biegłych. Np. od... pieniędzy; taki biegły siedzi w sądzie i bada po cztery, pięć przypadków na dzień. Bierze osiem stów od łebka i wyciąga kilkanaście tysięcy miesięcznie. A sądy jeszcze przynaglają; szczybie, więcej. Więc opinie wystawia się w jednym odrębnym egzemplarzu, dołącza do akt, nikt nie sprawdza czy prawidłowo. Są tacy biegli, którzy mają na swoim koncie po sto i więcej orzeczeń rocznie.

Z prof. ADAMEM SZYMUSIKIEM

rozmawia EWA OWSIANY

PSYCHIC



u Temidy

— A miejsca, gdzie się ludzi bada? Siedziby sądów, prokuratur, areszty śledcze. Czy to sprzyja nawiązaniu prawdziwego kontaktu z podsądnym? Czy w ogóle tak powinno być?

— Nie. Przez wiele lat badania wykonywano poza służbą zdrowia, często w bardzo prymitywnych warunkach. Profesor R. Dreszer jako pierwszy postulował, aby te badania, przeniesione do nas, po klinice poznańskich również nasza klinika oraz niektóre szpitale zaczęły praktykować to u siebie. Oczywiście nie bez oporu organów wymiaru sprawiedliwości, jak i niektórych psychiatrów. Obecnie jednak takie postawienie sprawy jest coraz powszechniejsze. Spodziewam się, że w najbliższych latach ta kwestia zostanie ostatecznie uregulowana.

— Poza tym budzi wątpliwość orzekanie opinii psychiatrycznych przez osoby, które są na etatach wymiaru sprawiedliwości.

— Oddziały dla osób chorych szczególnie niebezpiecznych, nie powinny być jednak oddziałami więziennymi. Tego rodzaju oddziały powstały w latach pięćdziesiątych we Wrocławiu i w Grodzisku Mazowieckim a potem w Oleśnicy. Ten ostatni zakład przekształcono zresztą na ośrodek leczenia i rehabilitacji osób z anomaliami psychicznymi, głównie z zaburzeniami osobowości. Niestety oddział ten mający bardzo ciekawe doświadczenia i szkolący personel innych zakładów karnych, został w ostatnich latach zlikwidowany. Również i Grodzisko, gdzie tamtejszy lekarz próbował wprowadzić psychiatrię cywilną — poszło do remontu. Wydaje się, że w przyszłości należy unikać sytuacji, w których opinie byłyby wydawane przez lekarzy pracujących na etatach Centralnego Zarządu Więziennictwa.

— Przedjmy do sprawy sygnalizowanej coraz częściej w prasie, a mianowicie, że psychicznie chorej stanowią coraz większe zagrożenie dla społeczeństwa. Wręcz alarmistyczny był w tym względzie artykuł Edmunda Żurka w „Przeglądzie Tygodniowym” o ukryzywaniu człowieka przez jego psychicznie chorego antagonistę. Co o tym myśleć? Czy rzeczywiście zagraża nam inwazja niebezpiecznych?

— Nieporozumienie. Jest faktem, że ludzie chorzy psychicznie stanowią dużą grupę wśród zabójców. Ale skąd się to bierze? Współczesny zabójstw bardzo spada w porównaniu do stanu przedwojennego. O ile przed wojną było ich 3.500 rocznie, to w tej chwili — około 500. Zabójstwa dokonane przez chorych psychicznie stanowią tu pewien „constans” w liczbach bezwzględnych, ale procentowo wygląda to tak, że przed wojną stanowiły 3 proc., a teraz — 20. Jest teoria, że im mniej zabójstw w danym kraju tym większy procent stanowią wśród nich czyny popełnione przez psychicznie chorych. I tak np. w Skandynawii mamy prawie 100 proc. nie poczytalnych zabójstw. Po prostu jeśli zmniejsza się przestępczość agresywna, to procentowo (nie liczbowo) wzrasta przestępczość chorych psychicznie i staje się nagłe „objawieniem”. Ogólnie: szansa popełnienia przestępstwa przez chorego psychicznie jest mniejsza, niż całej populacji, natomiast rzeczywistość, gdy chodzi o zabójstwa, stosunkowo często spotykamy się u sprawców z odchyleńmi od normy.

— Wiele obwinia się psychiatrów, że wypuszczają ze szpitali nie dość pewnych osobników?

— Ale przecież nie ma czegoś takiego jak profilaktyczne więzienie! Ten co ukryzował sąsiada, on się przecież leczył, i trudno na wszelki wypadek trzymać kogoś w zamknięciu przez całe życie! Zresztą my tym zamknięciem szafujemy zbyt hojnie i w szpitalach, i w więzieniach. Nasze współczynniki penalizacji od lat są alarmujące: siedzi u nas 4-5 razy więcej osób niż gdzie indziej w Europie.

— Pisałam o tym w reportażu „Gryps”, cytując dane Centralnego Zarządu Zakładów Karnych. Rozumiem analogie. Czy to prawda, że psychiatrzy nie potrafili określić, kto jest niebezpieczny, a kto nie?

— Nigdy nie można z całą pewnością przewidzieć czynów innego człowieka. Ale najogólniej wiadomo, że najgroźniejsi dla społeczeństwa są ludzie z marginesu, uzależnieni, psychopaci. Nie bardzo jest sens ich leczyć, metody, które mamy, są mało wydolne.

— To brzmi groźnie.

— Równie groźna, ale prawdziwa jest wiedza o tym, że każdy zdrowy i normalny człowiek umieszczony w otoczeniu ludzi zwariowanych, właściwie bezczynny — nuda straszywa, nikt z nim z braku czasu nie rozmawia — że każdy taki człowiek zmieniłby się, zapomniał normalnych odruchów. Nie mówiąc o tym, że faszeryjemy chorych lekami, które wywołują co tu dużo mówić — zmiany. Są chorzy, którzy wzięli po kilkanaście kilogramów pastylek! Często jest to po prostu... odbicie tzw. poziomu lęku personelu.

— To znaczy?

— To znaczy, na przykład: w tym samym szpitalu są dwa oddziały. W nich tacy sami chorzy. Na jednym pielęgniarzka boi się, więc sugeruje lekarzowi, żeby zapisywał leki uśmierzające. Na drugim zaś oddziale pielęgniarzka się nie boi i niczego nie sugeruje. U tej pierwszej skutki lecznicze są często gorsze o całą masę objawów ubocznych.

— W „Raporcie o stanie psychiatrii sądowej” sporządzonym przez Instytut Psychoneurologiczny w Warszawie można sobie poczytać o różnych zmianach psychicznych spowodowanych długą hospitalizacją. Daje też sporo do myślenia — cytuję — „jaskrawy konflikt pomiędzy nowoczesnymi tendencjami tera-

(CIAŁ DALSZY NA STR. 6)

JAN POPRAWA

ZADUSZKI JAZZOWE

Biletów wstępu nie było, płacił, kto chciał. Okazało się, że wszyscy chcieli i to w dodatku po 100 zł., dzięki czemu „bufet był obficie zaopatrzony” i bezplatny. Przy wejściu wyłożono księgę pamiątkową, do której uczestnicy wpisali sporo dowcipnych uwag; niestety zaginęła. Salka „jamowa” mieściła się poniżej poziomu ulicy, schodziło się więc do niej po schodkach. Oczom przybyła ukazowało się całkowicie zadymione od papierosów wnętrze, w którym przy niższych stołkach i na ławeczkach dla pierwszoklasistów posiedli się jazzmeni (...). Na lewo stał ogromny piec, a za nim znajdowała się komórka i ogólnie dostępny bar. Nastrój był kapitalny. Grali — Kuryl, Wojciechowski na trąbce, Sobociński — grał wtedy na perkusji z ogromnym swingiem, Henio Serafin (dziś doktor medycyny, ale czasem przypomina sobie tamte czasy i klemeruje), Krzysztof Trzcinski improwizując na temat „how high the moon” nie mógł „zejść z foni”. Grał chyba 8 minut — na owe czasy niestychanie długo. Wszyscy muzykowali z ogromnym zapałem i radością.

W ydarzenie, którego opis przypominałem za Jackiem Borowcem, miało miejsce w Krakowie 1 listopada 1954 roku. W tym i w dwu następnych dniach stało się w Krakowie zdarzenie bez precedensu: pierwszy ogólnopolski zjazd muzyków i wyznawców muzyki jazzowej. Zjazd, który historycy uznają za pierwszy jazzowy festiwal w Polsce. „Zaduszki Jazzowe” po prostu.

Niewielu z wymienionych we wspomnieniu, rozpoczynającym ten tekst, muzyków pozostało trwale przy jazzie. Krzysztofa Ko-



Fot.: J. Semuc

mede i Henryka Serafina (o paradoksie, o-baj byli lekarzami), przedwcześnie zabrał śmierć. Andrzej Kurylewicz (wtedy „Kuryl”) stał się wziętym i poważnym kompozytorem muzyki filmowej i kameralnej. Do filmu przeszedł też na zawsze jeden z najwzrostrosłonejszych wówczas muzyków — a najblyskotliwszych dziś operatorów, Witold Sobociński, zwany „Dentoxem”. Jego łódki przyjacieli Andrzej „Idon” Wojciechowski zo-

stał cenionym dziennikarzem i tylko amatorsko kustoszuje Polskiemu Archiwum Jazzowemu w swym rodzinnym mieście.

Niewielu też dziś uświadczyć na jazzowym koncercie ówczesnych „fanów”. A przecież kiedyś zdawało się, że nie może obyć się bez nich żadna impreza, coż zaś dopiero festiwal. Nawet „ojcowie chrzestni” powojennej działalności jazzowej w Krakowie — redaktor Marian Elle i plastyk Jerzy Skarżyński

— przestali dawno pokazywać się na widowni...

A przecież mimo owych zmian, mimo czasu jaki upłynął — „Zaduszki Jazzowe”, impreza zrodzona w egzotycznych okolicznościach i odbywająca się przez bez mała trzydzieści lat, jakby na marginesie zainteresowań tzw. „poważnych” koneserów i mecenasów sztuki — trwa.

Aczkolwiek zmienił się zewnętrznie zarówno krakowski festiwal, jak i jazz na nim grywany. Przez całe lata „Zaduszki Jazzowe” służyły dwóm celom. Pierwszemu — wbić do hów kołtunom, że jazz jest sztuką, że grać go mogą tylko artyści. I drugiemu — zaspokojeniu głodu tej muzyki u wciąż nowych roczników melomanów.

„Zaduszki Jazzowe” są swoistą instytucją kultury polskiej. I krakowskiej. Powstały po nich w naszym kraju inne, także większe i ciekawsze festiwale, ale właśnie dzięki „Zaduszkom” nawa polskiego jazzu płynnie po stosunkowo prostym, wyznaczonym przez tradycję kursie. Zarówno pierwszeństwo, jak i — co ważniejsze — trwanie, konsekwencja, podnoszą ten krakowski festiwal do wymiaru wyjątkowego. Historycznego. Olskie środowisko jazzowe nigdy nie było zbyt liczne. Wokół jazzowych estrad nie gromadziły się na ogół tłumy (wyjąwszy późne lata pięćdziesiąte, kiedy do jazzu przykładano miarkę „odwilży”, nie sztuki). Srodowisko to na domiar złego nie miało poczucia własności wynikającego z jakiegokolwiek własnej tradycji. Choć ostatnie — to, rzecz doprawdy niezrozumiała, jako że wiadomo przecież choćby o pierwszym stowarzyszeniu („Jazz”) (CIAŁ DALSZY NA STR. 6)

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

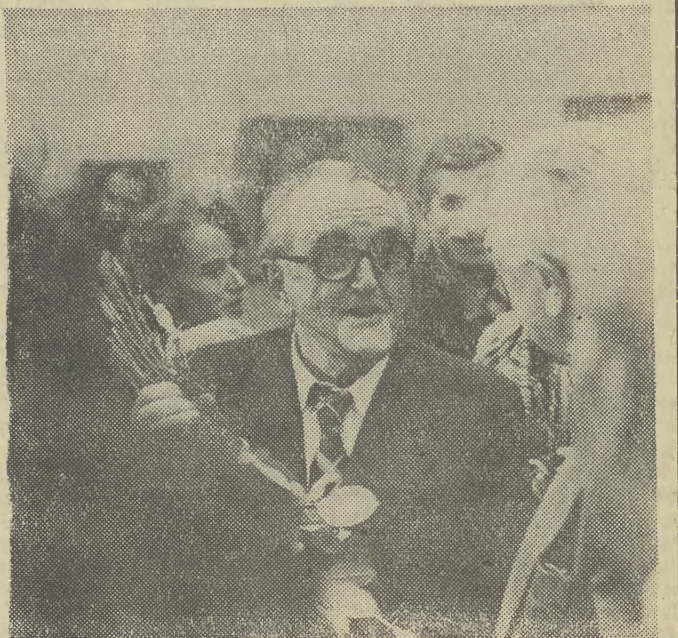
Nie, nie będę Państwa zanudzał rozważaniami na temat definicji sztuki, czyli jej istoty, gdyż tego po prostu nie wiem. No, może wyjąwszy określenie „ładna sztuka”, dotyczące jednak zjawisk cielesnych zgola nieartystycznej natury. Wiem natomiast, że ową „ładną sztukę” można namalować, narysować, lub wyrzeźbić. I wtedy zaczyna się wokół tego, najbardziej, jak by się zdawało, namacalnego obiektu, dzieła coś dziwnego: otóż zaczyna on się zmieniać w zależności od tego, kto trzyma pędzel w dłoni. Inaczej użak malował Panie Egipcjanie, inaczej malował je Rafael, a jeszcze inaczej — z przepraszeniem — Picasso.

Na błędne z natury rzeczy argumenty opozycji, twierdzące, że modelkami starożytnych Egipcjan były głównie Afrykanki, Rafaela Włoski, a Picasso szukał ich chyba wśród ofiar samochodowych karambolów, mam gotową odpowiedź w postaci wawelskiej wystawy, na której zebrano kilkadziesiąt portretów, co prawda raczej męskiego Jana III, powstałych w tym samym okresie jego życia. A każdy inny i każdy pokazuje inaczej naszego króla, co w pewnym przynajmniej stopniu tłumaczy jego zupiewstwo: w starciu z tyłoma Sobieskim samotny Kara Mustafa nie miał żadnych szans.

W ten też, mało skomplikowany, choć historycznie uzasadniony sposób, doszliśmy do kapitalnego dla sztuki zagadnienia, zwanego potocznie „światem artysty”, lub bardziej uczenie — „rzeczywistością a twórcą”, boć przecież nawet malarze zwani równie potocznie, jak mylnie realistami, utrwalali ten sam temat na wiele sposobów: koń Michałowski różni się zasadniczo od konia Juliusza Kossaka zaś ów od rumaka Matejki, czy nie przymierzając, infernalno-erotycznej bestii Podkowianego.

Dopiero po tym, nieco przydługim, ustępie można przejść do meritum w postaci jubileusowej wystawy Czesława Rzepińskiego w pawilonie BWA przy Plantach. Wielkie, zajmujące całą pawilon ekspozycji, zdolne zainteresować widza od pierw-

Patrzeć a widzieć



Czesław Rzepiński

Fot. W. KLAG

szego obrazu do ostatniego rysunku tak bardzo, że dopiero po pewnym czasie zdaje on sobie sprawę z nikłej ilości stosowanych przez artystę motywów. Z tego, że jest ich zaledwie trzy: pejzaż, martwa natura i portret. Nic więcej. Tyle, że każdy obraz, acz w założeniu podobny, jest zarazem inny i rozwiązuje inny problem, płynący z tych samych przesłanek, a to wielkiej ciekawości świata, prowadzącej do badania wciąż zmieniających się stosunków barwnych i świetlnych między przedmiotami.

Gdyż Rzepiński wywodzi się z właściwej tylko Europie „sztuki światła”. Nie maluje więc swej wiedzy o przedmiocie i tym samym go nie obiektywizuje, zaś — nie obiektywizując — nie stawia kropki po stwierdzeniu „ta martwa natura wygląda tak a tak”. Może ją zatem malować właściwie bez końca, odnajdując wciąż nowe wątki kolorystyczne i nowe układy świetlne. Bądź raczej — mógłby, gdyby kwiaty we flakonie nie wędły.

Bo to nieprawda, że każdy widzi świat tak samo, choć prawdą jest, że każdy się na niego tak samo patrzy. Lecz patrzeć, a widzieć — prosię Państwa — to dwie zupełnie inne rzeczy, gdyż patrzenie polega na mechanicznej i niejako generalnej rejestracji wszystkich zjawisk mających kształt lub barwę, natomiast widzenie jest selektywne i podległe w równej mierze mechanice wzroku, jak stanowi świadomości. Przykładowo rzecz biorąc: stojąc przed milońską Wenus syty zobaczy arcydzieło, głodny — strażnika jedzącego bagietkę z różnymi różniczkami, a wielu Panów dostrzeże nawet szczegóły okryte jądziastą szatą, o których pisał dla Państwa (i własnej) zdrożnej uciechy nie chcąc, przynajmniej na razie.

Co jednak widzi w świecie Czesław Rzepiński? Bądź też — czego nie dostrzega i nie chce widzieć? Otóż tego, z czego, niestety, składa się znaczna część naszej codzienności: zagonionego po śpięchu i dziurawych ulic, szerniałego od dymów nieba i zmurszających tyńków czy ludzi, wszelkiej brzydoty zatem, tandety i chaosu.

Rzeczywistość artysty budzi zaufanie swą mocną konstrukcją i płynącą z niej wiarą w nienaruszalność układów. Wszystko też zastępuje w niej na równie baczną uwagę i sympatię: w obrazach brak partii ważnych oraz mniej istotnych i tym samym godnych lekceważenia. Zaś wszystko przepaja równie światło bez żrótła i cieni.

Dobre jest żyć w świecie Rzepińskiego, omijanym przez burzę a nawet czas.

Choć, kiedy, sam autor powiedział: „O moich obrazach nikt nie powie, że są z XVI wieku, chociaż dużo czerpię z tego okresu. Ludzie najnowocześniejszymi samolotami przylatują do Madrytu, żeby oglądać Velasqueza dlatego, że on jest im potrzebny do życia, do przeżywania, czyli że nosi w sobie pierwotną potrzebę, potrzebę, nowoczesności, i dlatego nie szukam gorzkożnych manier. Zuję. Jestem dalszym ciągiem tego, co się powszechnie nazywa malarstwem. Mnie zresztą zupełnie nie zależy, żeby mój ktoś nazywał nowoczesnym, współczesnym, paseistą czy modernistą. Chcę, żeby człowiek był oczarowany moją sztuką. To jest moja skromna potrzeba”.

JERZY MADEYSKI



KAZIMIERZ WIELKI

(CIAŁ DALSZY ZE STR. 3)

większej uwagi podczas pobytu Kazimierza na Węgrzech, natomiast został ujawniony za przyczyną szpiegów krzyżackich, po jego wyjeździe, wywołując głośny skandal. Kiedy dowiedział się o wszystkim ojciec Klary, która nie zaparła się kontaktów miłosnych z królewiczem polskim, wpadł w szat i postanowił zemścić się na królowej Elżbiecie, utrzymując, jakoby za jej staraniem właśnie wprowadzono Klarę do sypialni brata. Wpadł z furją do komnaty królewskiej i zamierzył się na zaskoczoną królową, którą zasłonił jej mąż Karol Robert (wsłutek czego otrzymał ciecnię w ramię), po czym napastnik odciął Elżbiecie cztery palce u prawej ręki i dążąc do dokonania zbrodni, rzucił się na królewiczów, w trakcie czego został zabity przez jednego z dworzaków królowej. Mimo że poniósł śmierć na miejscu, zemsta króla węgierskiego dotknęła jego zwłoki, które poćwiartowano i wystawiono w większych miastach węgierskich na widok publiczny, a także członków rodu, których wytepięno z okrucieństwem. Klara została okale-

czona i oszpecona podczas odstrasających podróży po miastach. Tylko niedobitki, rodu uratowały się ucieczką do Polski.

Dodać musimy tu jednak od razu, że współczesne źródła węgierskie poświadczają fakt zamachu Felciana Zacha 17 kwietnia 1330 r. na rodzinę królewską, w tym również porażenie króla i odcięcie palców u jednej ręki królowej. Nie mówią tylko, że jego przyczyną było uwiędzenie przez Kazimierza Klary, córki Felciana. Wersja wiążąca tę tragiczną historię z królewiczem polskim pochodzi ze źródeł krzyżackich, znacznie zresztą późniejszych, za którymi przyczołżył ją w swojej kronice Jan Długosz. Warto nadmienić, że Krzyżacy specjalizowali się w wyobrazianiu wad Kazimierza i zohydowaniu jego postaci przed światem zachodnim. Była to bowiem jedna z metod obniżania znaczenia królestwa polskiego.

Sledzili zresztą nie tylko miłośnicy królewicza. W 1331 r. rozgłosili światu, że opuścił on z tchórzostwa pole bitwy pod Płowcami, chociaż prawda była taka, że Łokietek rozkazał mu — ponieważ wynik bitwy był trudny do przewidywania — wyjazd do Krakowa z jęńcami. W istocie Kazimierz nie był wcale taki strachliwy. Już w lutym 1329 r. brał udział w boju ojca w wyprawie na ziemię chełmińską, a w 1331 r., jako namiestnik królewski w Wielkopolsce organizował obronę przed Krzyżakami, którzy usiłowali go w Pyzdrach zaskoczyć i uprowadzić. Królewicz przeniknął jednak ich plan i nie zważony opuścił miasto, pozostawiając na jego murach rycerzy ze swoich oddziałów. W roku następnym odznaczył się śmiałym atakiem na Kościan, dowodząc oddziałem posiłkowym, przybyłym z Węgier. Miasto zostało zdobyte, a nastawieni wrogo do Łokietka jego obrońcy, wytepieni. W wyniku m. in. tej akcji zbrojnej została odcynowana (bez Sławy i Wschowy) południowa część Wielkopolski.

Niesprawiedliwy byłby zatem sąd, że Łokietek nie przygotował syna do rządów i prowadzenia wojen. Niedaleka

przyszłość pokazała, że staremu królowi udało się wpoić młodemu następcy mocno ideę utrzymania królestwa i dalszego jednoczenia ziem, pozostających jeszcze poza granicami państwa, a także wywołać u niego silną wolę podporządkowania owej idei polityki zagranicznej. Inne czasy i warunki oraz inna osobowość Kazimierza sprawiły, że dla urzeczywistnienia tych celów musiał on kroczyć swoją drogą i szukać rozwiązań własnych.

Kiedy Łokietek rozstawał się z życiem na zawsze, usłyszał od panów krakowskich, że następcą po nim może zostać tylko jego syn. Ale król nie był tego pewien do końca. Poradono mu, aby o miłość, życzliwość i wsparcie dla Kazimierza zaapelował w ostatnich słowach do rycerstwa ziem polskich. Kiedy zamknął oczy na wieki, zjazd „wszystkich panów królestwa” okrzyknął królewicza jedynym synem królem polskim i wyznaczył dzień koronacji. Wszyscy byli dobrej myśli. Tylko odwołała matka Kazimierza, królowa Jadwiga, zgłosiła protest. Nie chciała dopuścić bowiem do koronacji synowej Aldony-Anny, uważając że w kraju może być tylko jedna królowa. Opór wdowy po Łokietku był tak stanowczy, że młot z panów krakowskich i doradców zmarłego króla nie był go w stanie skruszyć. Ustąpiła dopiero na usilne prośby syna, usuwając się jednak ze sceny dworskiej do starszadzkiego klasztoru, gdzie dożyła końca dni swoich. Uroczystości koronacyjne odbyły się 25 kwietnia 1333 r., jeszcze przed pogrzebem Łokietka, za radą Karola Roberta, króla węgierskiego. Doprowadził go do katedry wawelskiej, gdzie w obecności najwyższych dostojników kościelnych, książąt, możnych i rycerstwa, arcybiskup Jarosław przyozdobił skronie jego oraz Aldony-Anny koroną królewską.

(d.c.n.)

FELIKS KIRYK

Problem katolicko-robotniczy, jeśli chodzi o Polskę, nie został nigdy rozwiązany; owszem, nigdy nawet w sposób realny nie był postawiony (...). Tymczasem związek pomiędzy sprawą odrodzenia katolickiego w Polsce a katolickim rozstrzygnięciem problemu robotniczego bije w oczy (...).

Rozwiązanie kwestii robotniczej, opanowania robotniczych mas przez myśl Chrystusową, w największym stopniu zależy od opanowania młodzieży robotniczej. Tymczasem w Polsce młodzież robotnicza jest prawie niekierowana przez organizację ideowo-wychowawczą. KZM¹⁾ ma bardzo mało tej młodzieży.

Tymi słowami podsumował biskup Cz. Kazimierz, w referacie wygłoszonym na konferencji Episkopatu w dniu 25.9.1938 r., historię katolickiego ruchu zawodowego w Polsce oraz działalność wyznaniowych organizacji oświatowo-kulturalnych, których celem było pozyskanie młodych robotników dla kościelnego programu społecznego, nakreślonego przez encyklikę: „Rerum novarum” i „Quadragesimo anno”.

Pierwsze polskie katolickie organizacje robotnicze zaczęły powstawać już pod koniec XIX wieku, niejednokrotnie przy czynnym zaangażowaniu duchowieństwa. Do najliczniejszych należało, działa-

„To przede wszystkim za pierwszą zasadę powinno być postawione, że trzeba w cierpliwości znosić swój los (...) gdyż niepodobna, aby w społeczeństwie wszyscy byli równi” — głosiła encyklika Leona XIII, „Rerum novarum”, będąca fundamentem tzw. społecznej nauki Kościoła.

„Z tych obowiązków ciężką na ubogim robotniku następują: w całości i wiernie dostarczać pracy do jakiej się zobowiązano (...) nie krzywdzić pracodawcy ani w majątku ani w osobie (...) nigdy nie postępując buntownie (...) Dlatego też jeśli się zdarza, iż zmusza (strach) robotników zagraża spokojowi publicznemu (...) należy użyć koniecznie (...) siły zmuszającej (...).

W ogóle robotnikowi należy przynajmniej tyle wyrozumienia, ile potrzeba dla odzyskania sił straconych przez pracę”. Leon XIII zalecał tworzenie chrześcijańskich związków zawodowych, ale „za najważniejszą ich zadanie uważał wzrost pobożności”.

Trudno się dziwić, że taki program nie przyciągał robotników, w swej większości żyjących w niezwykle ciężkich warunkach. Wprawdzie chrześcijańskie związki zawodowe szły dalej niż zalecał papież, domagając się ubezpieczenia społecznych, zapomóg dla bezrobotnych a niektóre z nich nawet — niezgodnie ze stanowiskiem Kościoła — 8-godzinne dni pra-

I inauguracyjne przedstawienie Teatru Rzeczypospolitej przyniosło występ zespołu Teatru Starego, który pokazał po raz kolejny warszawskiej widowni Stanisława Wyspiańskiego „Wyzwolenie” (ręcznie napisany w roku 1902, która dzieje się na scenie teatru krakowskiego) w reżyserii Konrada Swinarskiego, ze scenografią Kazimierza Wiśniaka i z muzyką Zygmunta Koniecznego. Spektakl jest znany, w przyszłym roku, 30 maja, minie 10 lat od premiery, która poruszyła publiczność teatralną Krakowa, potem całej Polski.

„WYZWOLENIE” w Teatrze Rzeczypospolitej

Występy warszawskie aktorów krakowskich utwierdziły nas w przekonaniu, że mamy do czynienia z zespołem o wybitnych walorach artystycznych. Pamiętam, premierę, pamiętam, nawet pewne poruszenie wśród krytyków, którzy nie we wszystkim chcieli się zgodzić ze Swinarskim. Ale jego instynkt teatralny i świadome działanie — tak istotnie odbijające się w rozmowie po próbie z Janem Błońskim — zwyciężyły, ponieważ „Wyzwolenie” w Starym Teatrze ma ciągle komplety widzów. Chcemy więc zwrócić uwagę na ten warszawski wieczór w Teatrze Dramatycznym, chcemy przypomnieć, że również „Dziady” w reżyserii Swinarskiego, „Noc listopadowa” w reżyserii Andrzeja Wajdy, są już dzisiaj stałymi elementami repertuaru pierwszej sceny polskiej. Teatr Stary chyba pierwszy w dziejach kultury ojczyzny osiągnął taki stopień prawdziwej popularności i wysokiego poziomu przedstawień o znaczeniu historycznym. Nie też dziwnego, że Teatr Rzeczypospolitej rozpoczął swą działalność od tego dzieła.

Swinarski powiedział wyraźnie: „Jak wiadomo, Wyspiański napisał najpierw drugą część, potem dopisał dwie pozostałe i wszystko zawarł — właśnie — w formie próby scenicznego. Mnie chodzi o to, że „Wyzwolenie” ma taki charakter, charakter próby... jakby aktorzy w połowie znali tekst, w połowie nie, zaś Konrad wpadł ze swoimi prywatnymi tekstami i niby się to rozwijało jedno z drugiego... Jeżeli zgubić formę próby teatralnej, sztuka nabierze momentalnego charakteru agitacyjnego, którego ona w ogóle nie posiada; tak tak postępuje, spłaszcza „Wyzwolenie” do warstwy, że tak powiem, „żurnalistycznej”.

Ten sposób rozumowania zyskuje jednak na scenie wymiar dość zaskakujący: już w czasie premierowego przedstawienia Konrad Jerzy Treli budził prawdziwe zachwycy dla potężnej siły kreacji tej postaci, która — przecież podobnie jak Muza i Stary Aktor — przez cały czas osiąga granice to drwiny, to patosu, to dramatycznej, patriotycznej wzmożoności.

W tym względzie Jerzy Treli, Anna Polony, Roman Stankiewicz wnieśli się dostojnie na sceny. Widownia odbierała to idealnie — z jednej strony Anna Polony dystansująca się — zgodnie z myślą autora — od frazesu patriotycznego, recytująca wzniosłe kazania równie namiętnie; z drugiej Jerzy Treli przedłuża Mickiewiczowską klótnię z Bogiem o Polskę

TEATR

przez wyrzuty, sarkasmy i jakimś traktującą papierową deklamacją agitatorów, przez wspaniałą modlitwę o pocieszenie siły. Kontrapunktem tego potężnego wotku sprzecznosci jest znakomity Roman Stankiewicz, który używając pamięć ojca-powstańcy, uznaje siebie za nic. Zważymy: wszystko dzieje się na scenie, wszystko jest jakby na niby. Stąd znaczenie potężnego, horyzontalnego tła spraw, kiedy Robotnicy i Masi jakby na ziemię

sprawdza, rzecz całą. Sprawdzenie części tych scen do szarpnięcia z chórem w klinie, na łóżku szpitalnym (pomysł rodem prosto z „Krasniskiego”, „nie przebiło” jednak wielkich treści zawartych we wstrząsającej scenie, kiedy Konrad mówi:

Sam już na wielkiej pustej scenie. Na proch się moja myśl skruszyła. Czy jesteś, Polsko — tylko ze mną? Sztuka mię czarów siecią wiąże: w Świątynię wszedłem wielką, ciemną —

dałem — nie wiem, dokąd dać. To rozbuchane, wręcz feyeryczne, teatralne tło wielkich słów i wielkich przeżyć Konrada-Treli stanowi dla całego potężnego zespołu zadanie sceniczne nie lada. Stąd więc postacie Karłowicza (Wiktor Sadecki), Holysza (Jerzy Radziwiłowicz), Prymasa (Roman Stankiewicz), Mowcy (Zygmunt Jędrzejewski), Ojca (Tadeusz Malak), Syna (Jerzy Świąć) i in., nie przekraczają granicy taniego patosu. Hestja w wykonaniu Izabeli Olszewskiej zrewidowała zarówno słabość, niajkątość, przepowiedni, jak i dete hasła. Wdróżka tak skomplikowała szalierstwa, pustkę słowa, że tylko wielki gest Konrada nadawał temu nurtowi przedstawienia jakby odrobinię wiary w siłę narodu.

Wszystko się w tym przedstawieniu realizowało zgodnie z zamierzeniem reżysera, ale równocześnie jakby i przeciwko niemu. Wymowa „Wyzwolenia” ma swoją poetykę, co zauważył nie obojętny Swinarski, że Broński Dąbrowski w słynnej realizacji tego dramatu na deskach Teatru im. J. Słowackiego pięknie zaatakował wyobraźnię współczesnych, akcentując fundamentalne dla całego dzieła — rozmowy-kłótnie z Maskami.

W spektaklu Swinarskiego Jerzy Treli spina swoją wielką osobowością raczej kłótnie i tęsknoty za wolnością; jego słowa skierowane przeciwko pustostawu, nadużyciu hasła narodowych, mają wymiar współczesności. Po raz kolejny wielkie dzieło dramatyczne, odgrywane przez przynależnych przedzie dzisiejszych, ukazuje sens z nadzieją: czyn jest potrzebny, chociaż często w wymiarze spraw ojczyźnnych stawa się staż. Na tym polega geniusz wielkich dramatopisarzy, że sprawy przez nich powołane do życia zyskują ciągłe i ciągle znaczenie aktualne. Nie doraźne, nie byle jakie.

Wieczór warszawski przyniósł nam doznania wielkie. Nie ma w tym cieńki przesady. Atmosfera „Wyzwolenia” zmusza również do pytań o sens naszych działań dzisiejszych.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

TEATR

Opowieści z Tysiąca i Jednej Nocy” są wciąż niewyściszonym źródłem tematycznym dla teatrów dziecięcych. Zwiastuje lalkowych. Tu bowiem przygody baśniowych bohaterów jakby dodatkowo uspięra coraz bardziej nowoczesna technika umożliwiająca kukłom, czy mniej już modnym marionetkom, przenoszenie wizji bajkowej z kart lektury na scenę.

Wyznam otwarcie, że z oglądanych dotąd — nie tylko w Teatrze Łalki i Maski „Groteska” — różnych kształtów scenicznych CUDOWNEJ LAMPY ALLADYNA, ta ostatnia wersja (też w GROTESCE) najbardziej przypadła mi do smaku. Po pierwsze, jako zamysł — skądinąd powtórzony i rozwinięty, w sensie formalnym, przez szwedzkiego reżysera VOJO STANKOVSKIEGO z poprzedniej jego inscenizacji Piesni nad pieśniami — równocześnie połączenia — na scenie działań lalki i aktorów, oraz po drugie: jako chwyt już nie całkiem „techniczny”. Bo wprowadzają-

cież Dobro musi pokonać Zło...

Bajka to, jak bajka — acz maro ma nieco pokretny. Okazuje się bowiem, że sam Alladyn bez cudownej lampy nie byłby nie zacytował i pocztów swoją obnoszył w biedzie oraz bez dostępu do wdzięków umiłowanej księżniczki. Nie mamy natomiast żadnej pewności, czy w świecie porabianym czarów zwyciężyłyby osamotnione cnoty Alladyna.

Dzieci śledzą tedy z zapartym tchem zmianie koleje szczęścia baśniowego posiadacza lampy, wierzając na słowo sceniczne, że jest on tak dobry, jak chce anonimowy twórca (twórcy) Księgi Tysiąca i Jednej Nocy. I może właśnie dzięki tej sugestii ogniającej młodym odbiorcom spektakla, mało kto zastanawia się nad niejednoznacznością pointą bajki. Z racjonalnego punktu widzenia. Górze biorą zatem emocje i wiara w marzenia, skupione po stronie deklarowanej uniwersalności Alladyna. No i do brze, można i tak. Choć oczywiście byłaby w adaptacji Stankowskiego dożycie (skoro to już adaptacja) jak spoza moralu bajkowego wyziera moral bardziej wychowawczo-demokratyczny. Nie dlatego, iżem tępy schematy-

EFEKTY podwójnej gry

cy w sposób widoczny, czyli świadomy, podwójną rolę człowieka-aktora na deskach teatru. Czyli — jego manipulację postacią sceniczną wedle tekstu przedstawianego utworu, a także, co stanowi pewne novum — mimiczno-plastyczny i zarazem komentarzowy stosunek (z dystansu lub nawet w opozycji) do psychofizycznych czynności kukielki, które udają zachowanie się ludzi, postawionych w sytuacjach uproszczonych konwencji baśniowej.

Fabule bajki tworzą — jak wiadomo — fantastyczne perypetie pocziwowej biedaka Alladyna, który jest tak dobry, że aż iza się w oku kreć, kiedy jego gwałtowna miłość do powańskiej Badri Budur, córki sultana, wydaje się beznadziejna i tylko jakiś cud mógłby sprawić, że los mu będzie jednak sprzyjał. Opowieść zmierza, rzecz prosta, do takiego finału, albowiem sędziwy władca Czarodziej, planujący również porwanie księżniczki, ani Wezyr, dążący do tego samego poprzez małżeństwo swojego syna, nie dopną celu. Czarodziej — ponieważ jest Złym Demonem, więc nie zdobędzie własnymi siłami starej lampy z ukrytym w niej cudotwórczym duchem, który spełni każde życzenie „właściciela” — Wezyr zaś nie ma szans, gdyż jako młody krętarz dworski nigdy nie potrafiłby dorównać (hez cudów) mocy oraz bogactwu władcy. Cud może zdarzyć się wyłącznie za pośrednictwem nieskalanego Dobra i Pocziwości. Czarodziej wie, że o tym, wysłał po lampę protoduszogolę Alladyna, który przez przypadek wchodzi w jej posiadanie. No i czaruje tak skutecznie, że olśniony wynikiem czarów sultan odda mu w końcu córkę za żonę. Nie dostrzegając jednak w zięciu pięknych, ludzkich cech, lecz tylko zewnętrzne efekty pod postacią jego niezwykłej fortuny. Rzecz kończy się — mimo chwilowego wykradzenia lampy przez chytrego Czarodzieja — happy endem, bo prze-

sta, lecz z tej przyczyny, że wyzarcowane bogactwa i związanie z nimi uśmiechu losu (bez pracy) szczęśliwość ludzką stawiają co najmniej pod znakiem zapytania. Jednakże wiedza o tym dopiero starsi. I to nie zawsze...

Widowiskowo przedstawienie w GROTESCE jest naprawdę sprawne i barwne oraz, oczywiście jak przystało na jego zawartość treściową, czarowne (scenografia Joanny Braun), a także pomysłowe i dowcipne w układach aktorsko-kukielkowych. Stwarzają one wykonawcom sporo pola do popisu „gry z lalką” pod zgrabnie dobraną muzykę Jolanty Szerby — co w sumie należy przypisać inwencji reżysera Jerzego Stankowskiego. Zas napływ widów — przy okazji — zapożyczone dodatkowo z arkanami swojej magii teatralnej, na miarę dziecięcych wyobrażeń o czarno-białym świecie dorosłych, świecie upostaciowanym wyrażenie przez występujących tu z powodziem: Leszka Goła (Alladyn), Krystynę Januszkiewicz i Barbarę Kobier (Matka), Jana Pleune (Wezyr), Stanisława Urbanika (Sultan), Krzysztofa Jaworskiego (Czarodziej) oraz Ilonę Słoboszkowską i Annę Krukowską (Księżniczka Badri Budur).

JERZY BOBER

PS. Do zamieszczonej 15/16 bm. publikacji SEZON PRZED NAM (2) wkradła się niekiesłość dotycząca planów repertuarowych Teatru Bagatela. Premierę monodramu o życiu Jesieniasa-przodkowskiego w scenariuszu E. Kutny i reż. M. Głinskiego — nie Alicja Kobielska, lecz Barbara Omieleska. I chociaż nazwiska obu artystek brzmią podobnie, zwłaszcza w końcówce (nie z Beckett), to jednak aktorki różnią się osobowością wyraźnie. Ponieważ nie chcę zwać winy na dyr. K. Wiśniaka, który mnie informował „na ucho” o propozycji sezonowych swej sceny, biję się wyłącznie we własne piersi, a raczej uszy. JB.

Kartki z dziejów II Rzeczypospolitej (II)

Gdy praca jest karą za grzechy

jace na terenie zaboru rosyjskiego. Stowarzyszenie Robotników Polskich, liczące (w 1907 r.) ok. 60 tys. członków. (Było ono, nawiasem mówiąc, nie tyle związkiem zawodowym, ile raczej organizacją religijno-oświatową).

Po odzyskaniu niepodległości działacze katolickich związków zawodowych podejmowali wielokrotnie próby zjednoczenia poszczególnych, lokalnych organizacji. Pierwszą taką próbę podjęło w 1919 r. Zjednoczenie Chrześcijańskich Związków Zawodowych mające swą siedzibę w Krakowie. Skończyła się ona całkowitym niepowodzeniem. Poza Zjednoczeniem krakowskim działało nadal pięć lokalnych, niezależnych od siebie, central, z których największe, Stowarzyszenie Robotników Polskich z siedzibą w Warszawie liczyło (w 1931 r.) ok. 40 tys. członków.

W 1925 r. wszystkie chrześcijańskie związki zawodowe zrzeszały 73,8 tys. osób. Dalsze lata przyniosły spadek ich liczebności i wpływów. W roku 1927 do związków tych należało już tylko 56,7 tys. członków. (Dla porównania: w tym samym roku klasowy Związek Stowarzyszeń Zawodowych skupiał ok. 225 tysięcy osób).

Jeszcze mniejszy zasięg i wpływ miały, kierowane bezpośrednio przez duchowieństwo, organizacje działające w środowisku robotniczym. Tak np. Katolickie Towarzystwo Robotników Polskich, stawiające sobie za cel główny „walkę z zarządem socjalistycznym”²⁾, liczyły w 1928 r. zaledwie 16,9 tys. członków. O wpływie powołanego w 1932 r. Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie” mówi fakt, że w dwóch największych miastach, w Warszawie i w Łodzi skupiało łącznie 618 członków. Nie dziwnego, że i ta również programowo antysocjalistyczna organizacja rozpadała się już w połowie lat 30.

Z słabości katolickich związków zawodowych zdawali sobie dobrze sprawę zarówno kościelni jak i świeccy aktywiści. W 1937 r. ks. A. Wysocki, działacz chadecki, partii najliscniej związanej z katolickim ruchem zawodowym, pisał: „Chrześcijański ruch robotniczy, ongi dość silny (...) dziś przedstawia siłę znikomą. Nie ma ani jednolitej organizacji, ani wiodzą, ani przywódców (...) Jego związki zawodowe są nieliczne. Co gorsza, zamiera wiara robotnika w przyszłość tego ruchu. Znajduje się on w zupełnym rozbiciu, dlatego nie może przeciwdziałać ani skutecznie ani socjalizmowi ani komunizmowi”.

Choć walka z lewicowym ruchem robotniczym znajdowała się w centrum religijno-społecznego programu Kościoła, słów ks. Wysockiego o socjalizmie i komunizmie nie trzeba brać zbyt dosłownie. Tymi słowami bowiem kler bardzo często określał klasowe związki zawodowe znajdujące się pod wpływami partii lewicowych.

Faktem jest przecież, że z upływem lat coraz większa liczba członków katolickich związków przechodziła do klasowych organizacji zawodowych.

Już w 1927 r. „Przewodnik Społeczny” użalał się: „Wpływ chrześcijańskiego ruchu robotniczego jest w Polsce rzeczywiście nikły, bardzo nikły. Każdy niemal dzień dostarcza dowodów, jak robotnik polski przechodzi coraz częściej do obozu przeciwnego”.

„Do robotnika naszego — czytamy w sprawozdaniu zjazdowym Katolickiego Towarzystwa Robotników Polskich — należy przystąpić apostołowie przewrotu, to jest komuniści i socjaliści. Całe powiaty (...) przechodzą do klasowych związków zawodowych”.

Niechęć robotników do chrześcijańskich związków zawodowych, pozostających pod wpływem kleru i skrajnie prawicowej partii chadeckiej była uzasadniona przede wszystkim ich, opartym na antyrobotniczych encyklikach papieskich, programem. Tak politycznym jak i społecznym. Program polityczny na pierwszym miejscu stawiał bezwzględne walkę z socjalizmem i komunizmem oraz rozbicie jednolitego frontu związkowego. Już tylko ten fakt musiał zniechęcić robotników. W stopniu jeszcze większym odrzucał program społeczny, głoszący, że praca jest karą za grzechy, a nierówność społeczna — zgodna z prawem boskim i naturalnym; zabraniający robotnikom walki o swe prawa i godność, traktujący strajk jako bunt i zamach na „porządek publiczny”.

cy³⁾. Równocześnie jednak w podstawowych sprawach postawa ich była niezdecydowana lub bierna, co w równie małym stopniu pociągało robotników jak ich aktywność, gdy chodziło o paraliżowanie każdej radykalnej akcji podejmowanej przez klasowe związki zawodowe. (Przykładem może być rozbiórka, lamistrajkowa działalność chrześcijańskich związków zawodowych w czasie strajku łódzkiego włókienników w 1923 r.).

Podjęrliwłość robotników budziły także ściśle powiązania chrześcijańskich związków zawodowych z chadecją, która np. postulowała 8-godzinne dni pracy uważała za demagogię, głosowała w Sejmie przeciwko ustawie o ochronie lokatorów i przechodziła do porządku dziennego nad brutalnymi metodami policji (np. w sprawie masakry robotniczej demonstracji w Zagłębiu w dniu 12.3.1919, czy masakry w więzieniu we Włocławku⁴⁾). A także „wyraża sprzyjanie (chrześcijańskich związków) interesom warstwy posiadających”, jak otwarcie nazwał ich taktykę S. Rychliński w pracy „Zasadnicze kierunki robotniczego ruchu zawodowego w Polsce” (1929).

Z niepopularności „katolickiej nauki społecznej” zdawała sobie sprawę część duchowieństwa oraz świeckiego aktywu. Tak np. katolicki publicysta E. Myczka w pracy „O polską ideę czynu” (1938) pisał:

„W opinii publicznej w Polsce obóz katolicki utożsamia się z konserwatyzmem społecznym. Wiąże go (...) odwracanie się mas od Kościoła i szukanie oparcia w komunistycznych „frontach ludowych” ponosi ten typ katolicyzmu, który religijność pojmuję (...) w oderwaniu od problemów społecznych”.

Jeszcze wyraźniej postawił kwestię ks. F. Machaj, przestrzegając kler przed wulgarnym, zaciekłym antykomunizmem, który nie znajduje szerszego odzewu w masach:

„Nie można zataić pracy socjalistów i komunistów (...) dla dobra rzeczy robotniczej (...) Wiadomo, że tzw. ustawy społeczne zostały wywołane (...) przez czerwonych przywódców proletariatu”. („Rola Akcji Katolickiej w sprawie stosunków społecznych”, 1932).

Tę powodzi nienawiści do radykalnego ruchu robotniczego.

Z jeszcze większą podejrzliwością robotników musiały spotkać się pochwały, zalecanie przez Piusa XI, ustroju korporacyjnego, zrzeszającego i robotników i kapitalistów w jednym związku (korporacji), a wzorowanego na doświadczeniach włoskiego faszyzmu⁵⁾. Ustroju, który — zdaniem miarodajnych czynników kościelnych oraz publicystyki katolickiej — realizował zasady katolickiej nauki społecznej:

„Nikomu nie jest tajno, że zasady katolicko-społeczne tu i ówdzie są uprowadzane w życie Narodu. Przykład daje nam korporacja Austria ks. Seippla, Dolfusca (...) częściowo faszystowsko-korporacyjne Włochy, Portugalia, Hiszpania itd.” — pisał ks. S. Wyszyński w pracy „Zasieg i charakter zainteresowań katolickiej myśli społecznej” (1937).

Zbyt jaskrawie i jawnie demonstrowany związek Kościoła z klasami posiadającymi nie mógł przyciągnąć robotników do jego „społecznej nauki”. I tu tkwiła główna przyczyna znikomej roli chrześcijańskich związków zawodowych w Polsce.

WIESŁAW MERCIK

¹⁾ Katolicki Związek Młodzieży, ²⁾ Jak pisał organ KTRP „Robotnik”, ³⁾ Ks. J. Biedlerack w „Kwestii społecznej” pisał: „Zadanie powszechnego 8-godzinnego dnia pracy nie jest usprawiedliwione i musi być odrzucone”, a ks. E. Jarożyński w „Katolickim społecznym” twierdził: „dla tkacza 11-godzinna praca nie jest nadto uciążliwą”, ⁴⁾ Ks. Wysocki, poseł chadecki, na seji w dniu 28.10.1925 zlekceważył sprawę masakry we Włocławku, oświadczała zarazem, że „Wronki należą do najlepszych więzień w Polsce”. ⁵⁾ Arcybiskup Teodorowicz w pracy „O ducha narodu polskiego” nazwał Mussoliniego „człowiekiem państwowym nie tylko dla swej ojczyzny, ale dla całego powojennego świata”.

Kręte, strome schody ledwo pozwalają wdrapać się na trzecie piętro starej kamienicy. Przygarbiony starzec z długą siwą brodą z trudem wspina się po skrzypiących stopniach.

Wielki, jasny pokój w niczym nie przypomina wyobrażeń o pracowni malarzkiej. Puste ściany, żadnych ozdób, mało sprzętów. Pod oknem niewielki stolik, na nim filiżanki z niedopitą kawą, sucha bułka, popielniczka pełna niedopałków. Z otwartej szuflady stolika wystaje kilka fotografii ulubionych obrazów mistrza, Bitwa Konstantyna, florencka Madonna dell'Impannata, kolorowe szkice. Matejko lubi na nie patrzeć, kiedy jest zmęczony całodziennym malowaniem. Na środku pracowni przenośne schodki, służące mu przy malowaniu górnych części obrazu, sztalugi, stolik na farby. Tuż obok palety z farbami, okulary. Matejko sięga po nie już coraz częściej, wzrok zaczyna zawodzić. W rogu pracowni stoi duży wypchany koń, przystrojony w paradne szaty. To jemu dokładnie przysłaga się Matejko, żeby później stworzyć studium głowy, tułowia, nóg końskich, przenieść je na płótno. W drugim pokoju, tuż obok pracowni, wielki bałagan: ubiory, sterty materiałów, makaty, zbroje z różnych epok, dziesiątki drobniaków, jakieś berło, gdzieś spod sterty asanów i gronostajów wystaje korona, trochę dalej Stańczykowa czerwona czapczka z dzwoneczkami.

Już o 9 rano rozpoczyna malowanie. Wówczas nie wolno nikomu wejść do pracowni, tylko Waluś, ulubiony model ma do niej zawsze prawo wstępu. Waluś pozuje znakomicie. Raz jest magnatem, to znowu pacholcem, kiedy indziej dostojnym profesorem. Malarz jest malowniczym, skupionym. Obraz nie powstaje od razu. Czasem i parę miesięcy, a nawet lat nosi go w sobie,

szuka odpowiednich twarzy, gromadzi drobniaki. Najpierw rysuje postać ołówek, każdy ruch swojego modelu natychmiast szkicuje. Zrobiony szkic podmalowuje w konturach, ale tylko w jednym kolorze. Matejko bardzo lubi kwiaty, te najbardziej pstre, bo studuje w nich kombinekcje kolorów. Zwykły mawiać: „natura w swoich kombinacjach myśli się nie może i jeżeli owe kolory umieści obok siebie, to malarz może ślepo kłaść je na obraz, też obok siebie. Najlepszym są ku temu bratki i dalie”.

Jest jesień 1893 roku. Matejko już nie wdrapuje się po krętych schodach do swojej pracow-



Jan Matejko — autoportret.

ni. Ważne ciało, śmiertelnie spracowane, prawie dziecięce dionie, chore oczy domagają się odpoczynku. Dokuczliwe kurcze nie pozwalają pracować. 1 listopada, o trzeciej po południu umiera, zdążywszy jeszcze rzec czuwającej przy nim żonie: „... nie pozwól chować mnie na Skalkę, ale gdyby mi Zygmunt mógł zadzwonić, to byłoby mi bardzo miło”.

IZABELA PIECZARA

KUPOWALI ZWIĄZY

I Zygmunt zadzwonił, kiedy 7 listopada Kraków żegnał swego „nieodżałowanego mistrza Matejko”. W konduktie pogrzebowym szli przedstawiciele Sejmu, Rady Miejskiej, szedł jego ukochany Kraków. Niesiono przeszło 100 wieńców, pomiędzy którymi najpiękniejszym był wieńiec od artystów krakowskich, złożony z palet połączonych z sobą liśmi palmy i wstęgami, przygotowany według projektu Piotra Stachiewicza. Ordery i odznaki honorowe nieśli przed trumną Juliusz Kosak i Tymoteusz Rakowski. Pogrzeb odbył się kosztem kraju...

Wśród licznych pamiątek historycznych, zgromadzonych w skarbnicy, jaką jest Biblioteka Czartoryskich w Krakowie — zwłaszcza jeden dokument przykuwa szczególną uwagę. Mam na myśli „Rady” („Consells”) ADAMA JERZEGO CZARTORYSKIEGO. „Rady, wedle których powinna postępować Serbia”... Dokument ten powstał w Hotelu Lambert w Paryżu, nosi datę styczniową roku 1843 i został przekazany zgodnie z zasadami tajnej dyplomacji tego „niekoronowanego króla Polski” w czasach, gdy naszego państwa nie było na politycznych mapach Europy — poprzez sekretne go agenta księcia Adama via Stambuł nowo wybranemu księciu Serbii Aleksandrowi Karađorđewiczowi do Belgradu.

Jakie były losy tajnej misji? Jak ten dokument miał wpływ na kształtowanie się idei jugosłowiańskiej, czyli skupiania się Słowian Południowych zniewolonych przez Turcję i Austrię wokół rosnącej w siłę Serbii? Co łączyło Czartoryskiego z nowymi przywódcami tego państwa i jaką politykę prowadził wobec mocarstw w tzw. „kwesłii wschodniej” na Bałkanach? Czy „Nacertanije” Ilji Garašanina, wybitnego męża stanu Serbii z tego okresu, które było skiczem, załącznikiem idei jugosłowiańskiej pod serbskim przewodem realizowanej — to nic innego, jak kopia „Rad” Czartoryskiego? Czy wobec tego można przyjąć, że właśnie książkę Adam Jerzy Czartoryski jest duchowym ojcem Jugosławii?

Żeby móc odpowiedzieć na te intrygujące pytania, które do niedawna jeszcze żywo zajmowały historyków polskich i jugosłowiańskich, ba — były powodem ostrych polemik i naukowych docieków — za zgodą autora zagladam do maszynopisu nowej „Historii Jugosławii” docenta doktora WACEŁAWA FELCZAKA z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitnego specjalisty z zakresu historii nowożytnej Europy Środkowej, który w przeszłości wydał m. in. znakomitą „Historię Węgier”. Zanim jednak książka Wacława Felczaka ujrzy światło dzienne w znanej serii „Ossolineum”, serii poświęconej dziejom różnych narodów i państw, prześledźmy losy tego niezwykłego dokumentu z Biblioteki Czartoryskich. Z książki Wacława Felczaka wynika bowiem jednoznacznie, że twórcą idei jugosłowiańskiej, która okazała się realna, jak też aktywnym działaczem na jej korzyść był właśnie Adam Jerzy Czartoryski, przywódca tzw. konserwatywnego obozu emigracji polskiej z Hotelu Lambert w Paryżu. Okoliczności, w jakich doszło do przekazywania tajnego dokumentu poprzez Konstantynopol, sieć agentów Czartoryskiego tamże i na Bałkanach, warunki konspiracyjnych działań, a także szersze tło historyczne — wszystko to służyć by mogło wręcz za kanwę do sensacyjnej książki, w której inwencję i fantazję autora zastąpić mogą, z wyjątkiem, obiektywne, historyczne fakty.

Tajny dokument Czartoryskiego żył bowiem własnym życiem i dał życie bardzo płodnej i atrakcyjnej idei. Ale — od początku.

W pierwszych dziesięciokilku XIX wieku, jak również z końcem lat trzydziestych, Serbia była krajem rolniczym, w którym 94 proc. społeczeństwa stanowił chłop. Po uwolnieniu niezależności księstwa ziemia feudalów tureckich przeszła w ręce chłopów serbskich. Co raz wybuchły jednak bunty przeciwko znienawidzonej dystrykt Obrenowiczów, reprezentowanej przez księcia Milosza, który skupiał w swych rękach władzę absolutną i postęgiwał się metodami skrajnych represji. Ks. Milosz Obrenowicz był półanalfabeta, wywodzącym się bezpośrednio z warstwy chłopskiej. Okrutny dla przeciwników, despotą i zdziercą w stosunku do poddanych, najbogatszy człowiek na Bałkanach, stał się jednak Miloszem, dzięki swym dużym talentom politycznym, faktycznym twórcą państwa serbskiego. W polityce zagranicznej wierny był Rosji, przynajmniej do czasu, kiedy Rosja nie popierała opozycji przeciw niemu. Znał stosunki tureckie, umiał też, rządząc samodzielnie, utrzymać się w pozycji wiernego wasala, a jednocześnie ograniczać w działaniu paszę tureckiego, rezydującego w twierdzy belgradzkiej. Opozycja przeciw Milosławowi wzrastała na sile. Co raz wybuchaly powstania. Przerazony władca zwołał skupszyny (parlament), która w 1835 uchwalila pierwszą konstytucję serbską nazy-

waną „Sretenjskim ustawem”. Wprowadzała ona montekiuszowski podział władzy na prawodawczą, wykonawczą i sadowniczą, i postanawiała coroczne zwoływanie skupszyny dla kontrolu rządu. W ówczesnych stosunkach europejskich była to więc konstytucja liberalna, stąd słusznie nazywana przez jej przeciwników „frank-

Z nieznanych dziejów Wielkiej Emigracji

euskim chwastem w tureckim lesie”. Przeciwnicy konstytucji zaprotestowali, Rosja, powołując się na swą prawa protektorskie. Nie zgadzał się sultan i oponował Metternich. Korzystając z nacisku zewnętrznego książe Milosz konstytucję odwołał, myśląc — że wszystko wróci do dawnego stanu. Opozycja jednak nie dała za wygraną. Opozycjoniści sami nazywali się obrońcami konstytucji („Ustavobraniteljami”), weszli w porozumienie z konsulem rosyjskim, podczas gdy Milosz nawiązał kontakty z konsulem angielskim. Paradoks, że liberalna Anglia popierała despotyczne księcia serbskiego, a carska Rosja opozycję liberalną, wynikał z rywalizacji mocarstw na Bałkanach i z aktualnej sytuacji tzw. „kwesłii wschodniej” (której zawilosci rozwinię za o-

ścislem Petersburga, sultan zarządził ponowny wybór. Wbrew naciskom, Ustavobranitelje zdani na samych siebie — dokonali na skupszynie w czerwcu 1843 ponownego wyboru Aleksandra na księcia Serbii. Dynastia Obrenowiczów została obalona. Zmiana dynastii była jedynie formalnością; faktycznie szło o obalenie przeszkód do dalszego rozwoju społecznego i gospodarczego w myśl interesów nowo ukształtowanej, przywódczej grupy społecznej. Najważniejszą usługą Ustavobranitelji była wewnętrzna organizacja państwa według wzorów zachodnioeuropejskich. Na podstawie kodeksu napoleońskiego ustalono w nim prawa jednostki i uregulowano prawo własności prywatnej obywateli. Zorganizowano stałe wojsko, a najdonośniejszy „przewrót” zaistniał na o-

polnku w latach 1844—1845 funkcję ministra spraw wewnętrznych. Praktycznie w jego rękach skupila się cała władza w państwie, gdyż książę Aleksander, mimo dobrej woli, nie miał należytego przygotowania do kierowania państwową nawa. Wśród innych Ustavobranitelji brak było również polityków o szerszym horyzoncie. Owszem, umieli dokonać przewrotu, ale zabrakło im umiejętności sterowania państwem w okresie wielkiego kryzysu. Garašanin był człowiekiem światłym, realistą w polityce, znającym dobrze sily i możliwości własnego społeczeństwa. W działaniu cechowała go ostrożność, do czego zresztą zmuszała wyjątkowo trudna sytuacja Księstwa, które, niezależnie od wewnętrznych powikłań, do stało się w konflikt z Rosją, protektorką Serbii wyznaczoną przez traktaty.

Te skrótkowe z konieczności informacje są niezbędne, żeby zrozumieć istotną rolę „Rad” Adama Jerzego Czartoryskiego wobec skomplikowań wewnętrznych i uwarunkowań zewnętrznych ówczesnej Serbii. Zanim jednak prześledzimy drogę tajnego dokumentu, jeszcze słów parę o ówczesnej Serbii. Zanim jednak prześledzimy drogę tajnego dokumentu, jeszcze słów parę o ówczesnej Serbii. Zanim jednak prześledzimy drogę tajnego dokumentu, jeszcze słów parę o ówczesnej Serbii.

Od końca XVIII wieku w dyplomacji europejskiej znane jest pojęcie „kwesłii wschodniej”. Oznaczało ono rywalizację mocarstw, czterech potęg ówczesnych: Rosji, Wielkiej Brytanii, Francji i Austrii, które pilnie obserwowały wszystko, co dzieje się w rozpadającym imperium tureckim. Rosja — zgodnie z pragnieniem carów — marzyła o opanowaniu Konstantynopola (Bosfor, Dardanele...). Z tych samych powodów Wielka Brytania, strzegąc handlu lewantyjskiego, Austria natomiast pilnie strzegła, aby na Bałkanach, gdzie mieszkała ludność chrześcijańska, słowiańska — prawosławna, nie dostała się pod wpływ polityki prawosławnej Rosji. Bo wtedy wiele ziem austriackich uległoby odczerpaniu. W rzeczywistości Wielka Brytania, Francja i Austria gotowe były bronić status quo, ale Rosja pragnęła zniszczenia imperium tureckiego i włączenia w obszar swego państwa Słowian Południowych.

Tu aż się prosi przypomnienie, że w czasach, gdy Adam Jerzy Czartoryski był ministrem spraw zagranicznych na dworze cara rosyjskiego Aleksandra w 1804 stworzył koncepcję zjednoczenia całej Słowiańszczyzny — na zasadach niezależności — pod berłem Romanowów. Gdy jednak książkę Adam zerwał z Rosją, zostawszy prezesem Rządu Narodowego w Powstaniu listopadowym, a w wyniku upadku tegoż musiał uchodzić na emigrację, dokonał zwrotu skrajnego w swej poprzednio lansowanej koncepcji. Od tego czasu istotą polityki Czartoryskiego było włączenie się do „kwesłii wschodniej”, ale na zasadzie odwrotnej, niż wcześniej zamierzał. Adam Jerzy Czartoryski wierzył w odbudowę państwa polskiego w oparciu o mocarstwa zachodnie i przewidywał ich konflikt zbrojny z Rosją. Turcja właśnie mogła być tego powodem. Zwrócił się zatem do Konstantynopola i zażądał samo stanowisko, jak Wielka Brytania i Francja, to znaczy: podtrzymać Turków, nie dopuścić, by wpływy imperium carów doszły do Stambułu. Jego polityka była dwukierunkowa: podtrzymywanie Zachodu w nieugiętości, z drugiej zaś strony wpływanie na Turcję, aby sama podjęła konieczne reformy dla utrzymania swego imperium. Namawiał Turków do liberalizacji stosunków wewnętrznych, przy jednoczesnym unowocześnianiu instytucji państwowych, armii itd. Osobnym problemem dla Czartoryskiego była sprawa zjednoczenia Słowian Południowych w jednolite, oparte na zasadach federacyjnych, państwo. Poprzez swych agentów w Stambule i rozległe wpływy tłumaczył Turkom, że jeśli chcą zlikwidować ru-sosifstwo Słowian Południowych, wzniesienia zwłaszcza prawosławne, to muszą zagwarantować swobodny rozwój narodowych aspiracji Słowian. Jego pojęcie w Konstantynopolu było tak znaczące, że Turcy nie przeszkadzali w tym „podwójnym salcie”. Turcy nie czynili przeszkód w udzielaniu paszportów agentom Czartoryskiego; na realizację jego bałkańskiej polityki pieniądze dawał jednak... polskie dwory nad Wisłą, Bugiem i za Bugiem.

(d.c.n.)

ALEKSANDER KRAWCZUK



CEMENTARZ RAKOWICKI - PROBA PRZEWODNIKA

I porozumiał się z bratem, aby tenże wywiódł matkę na spacer za miasto, iżby ją z daleka mógł zobaczyć i bez jej wiedzy pożegnać. Było to przeżycie, bo jej już więcej widzieć nie miał. W ten sposób pożegnał także bohdankę przyszłego towarzyskiego życia, i wyruszył do Warszawy. To słowa L. Debińskiego, na podstawie opowieści samego Helca. Młody doktor praw — a właściwie już docent, przygotował bowiem pracę habilitacyjną z zakresu prawa rzymskiego — służył od stopnia najniższego w I pułku ułanów poznańskich, walczył pod Grochowem. Po upadku powstania wykładał w Uniwersytecie Jagiellońskim prawo polskie jako docent, ale już w r. 1833 reorganizacja uczelni przez „rządy opiekuńcze” odsunęła go od kontaktu z młodzieżą. Nie zaniechał jednak pracy naukowej, wydając przez dwa lata, we własnej drukarni i swoim kosztem „Kwartalnik Naukowy” oraz cudze dzieła z zakresu historii i prawa. W tym mniej więcej czasie po raz pierwszy ujrzał go WINCENTY POL i tak odmalował: „Włosy kruczawe, czoło światłe, białe i zamyślane. Czarne, bystre oczy, łagodne ruchy, cała postać szlachetna i nad wiek poważna.”

Wydarzenia r. 1846, a zwłaszcza wieści o rabacji, spadły nań dosłownie jak cios, powodując pierwszy atak paralizu — choroby, która w latach późniejszych całkowicie przykuła go do łóża. Podczas burzliwego r. 1848 działał wraz ze swym przyjacielem, ALEKSANDREM WIELOPOLSKIM, w duchu umiarkowanym, stawiając sobie za cel, jak sam głosił, „połączenie wszystkich patriotów i wszystkich sił narodowych dla osiągnięcia niepodległości dawnej Polski całej na drodze, agnacji legalnej”. Uczestniczył w ogólnopolskim zebraniu delegatów we Wrocławiu, bezpośrednim potem w deputacji mieszkańców Krakowa protestującej przed cesarzem z powodu zbombardowania miasta. Brał udział w pansłowiańskim zjeździe w Pradze, posłował do parlamentu austriackiego w Kromierzynie.

Nadzieje polityczne rozwijały się, ale od r. 1849 prowadził znowu wykłady, już jako profesor. Został dymisjonowany w r. 1853 wraz z kilkoma kolegami w okresie nowej fali germanizacyjnej. Bezpośrednim powodem było m. in. to, że podczas wizyty cesarza w r. 1851 profesorowie wystąpili nie w mundurach, lecz w togach! Tajna opinia policji zaliczała go do arystokratycznej frakcji stronnictwa rewolu-

RODZINA HELCŁÓW

Piękny to dowód umiłowania polskości przez rodzinę, która przecież przywodziła do nas z Austrii przez Czechy dopiero pod koniec wieku XVIII i nie tylko rychło się zasymilowała, ale udokumentowała swój patriotyzm czynami. Jak zresztą wiele innych rodzin podobnego pochodzenia, by wymienić tylko Estreicherów, Girtlerów, Hahnów, Hallerów, Treutlerów, Wolffów. Protoplasta rodu na naszej ziemi, Benedykt, był wagnistrzem przy poczcie austriackiej w Podgórzu. Doszedł do pewnego majątku uczestnicząc w splawie zboża do Gdańska, handlując winem oraz towarami kolonialnymi. Jego syn Antoni jeszcze pisał się, jak ojciec, Hoelzel, ale już wiazał się z Krakowem i polskością. Był to człowiek, poświęcał J. Wawel Louis, „prawy, sumienny, choć niesłychanie ściśliwy i oszczędny”. Za czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej dorobił się fortuny. Kupił kamienicę pod nr. 21 w Ryńku Głównym, a potem wśle Mianocice i Rzędowice w granicach Królestwa Polskiego. Jako posiadacz ziemski uzyskał potwierdzenie tytułu szlacheckiego de Sterstein — w polskiej formie Sztersztyn — nadanego rodzinie jeszcze w XVII wieku przez cesarza Rudolfa II. W roku 1831 dowodził w Krakowie Gwardią Narodową. Miał czterech synów, z których dwaj, Antoni Zygmunt i Ludwik, położyli wielkie zasługi dla miasta i kraju.

LUDWIK — ur. 1810, zm. 1872 — był kupcem, bankierem, rajcą miejskim, wiceprezydentem Krakowa, posłem na sejm galicyjski, członkiem Rady Państwa. Zgodnie z ambicjami ojca i ówczesnego patryjatu miejskiego nabył majątek Radłów. Jego nazwisko przewija się często na kartach prac poświęconych stosunkom gospodarczym i społecznym ówczesnego Krakowa, jak np. książki Juliusza Demela, wykazywał bowiem dużo inicjatywy na wielu polach. W sprawach politycznych reprezentował poglądy konserwatywne, a kiedy szło o kwestie narodowe występował jako Polak. I tak np. gdy władze austriackie w okresie przed powstaniem styczniowym surowo tłumili żądania młodzieży akademickiej, by wprowadzić w uniwersytecie język polski jako wykładowy, ostro zaprotestował przeciw temu w sejmie galicyjskim, co położyło kres represjom. Ogromny zaś majątek, zdobyty przez operacje bankowe i handlowe — trudno dziś orzec, czy zawsze najchwałebniejszą — ostatecznie powrócił do społeczeństwa dzięki filantropijnej działalności. Jego i żony. O kaplicy cmentarnej była już mowa. Ale Ludwik Helcel pomagał również finansowo Franciszkowi Wężykowski, gdy wznoszono gmach Towarzystwa Naukowego przy ul. Sławkowskiej (obecnie siedziba Akademii Umiejętności), po jego zaś śmierci żona, Anna z Treutlerów, przeznaczyła milion florenów na budowę domu dla nieuleczalnie chorych i rekonwalescentów; ona też miała swój udział przy tworzeniu szpitala dla dzieci im. św. Ludwika. Ogromny zakład Helcłów wybudował architekt Pryliński w latach 1886—89, oddano go do użytku w r. 1890. Spełnia swą rolę społeczną do dziś jako dom spokojnej starości, choć — zlokalizowany niegdyś na peryferiach — znalazł się obecnie tuż przy bardzo ruchliwej arterii. Tego jednak fundatorzy przewidzieć nie mogli.

Pomniki więc ofiarne działalności Ludwika i Anny Helcłów są okazale, konkretne, znane w tym mieście każdemu. Natomiast brat bankiera, ANTONI ZYGMUNT, żyjący w latach 1808—1870, pozostawił innego rodzaju owoce swej pracy; nie tak widoczne, nie tak materialne, a przecież równie trwałe i ważne. Kolejne jego życia układały się dość dramatycznie, co zwiędli i dobitnie scharakteryzował L. DEBIŃSKI: „Z obozu na katedrę, z katedry na trybunę kolejno przechodząc, zachował meśtwo żołnierza, gruntowność uczonego i przenośność polityka.”

Uczestząc Antoni Zygmunt do liceum św. Anny, potem studiował prawo, a w r. 1828 już jako doktor obijał praw wyjechał za granicę. Był we Wrocławiu, potem w Berlinie, gdzie słuchał m. in. wykładów Hegla, następnie w Heidelbergu, wreszcie w Paryżu. Zaledwie jednak tu stanął, przyszła wiadomość o wybuchu powstania listopadowego. Popieszył natychmiast do kraju. „Przybywszy do Krakowa nie poszedł do domu rodziców z obawy, aby go nie zatrzymywano. Zajeżdżał do mieszkania generała Paszkowskiego, który go znał i lubił,



Ludwik Sztersztyn Helcel Fot.: W. Klag cyjnego, zarzucała mu nieprzejmowanie manifestowanie przy każdej sposobności wobec wszystkich, co austriackie i niemieckie, a charakter jego określała jako dumny, uparty, porywczy, pochopny do skrajnych kroków. Inaczej, choć też niebezskrytycznie, widział go i oceniał uniwersytecki kolega, profesor medycyny Fr. HECHEL: „Pan Helcel, lubo jako uczonej i patriotą wielce jest poważany, nie jest jednak lubiany, osobliwie od uczonych tutejszych, jest bowiem trochę zarozumiały i nie pomnąc na to, iż ojciec jego i brat dotychczas jako kupcy w sklepie pieprz sprzedają i szachrują, chętnie z wielkimi panami para się, a z równego stanu kolegami jest nieco dumny.” Przypnie jednak Hechel, że jego prace naukowe są cenne i konkluduje: „Jednym słowem maż ten jest prawdziwą osobą wydziału prawnego, a zarazem i całego grona nauczycielskiego.”

I rzeczywiście Helcel, nie mogąc pracować dydaktycznie, cierpiący, wystawił sobie pomnik wspaniały: dzieła o nieprzejmującej wartości. Część z nich to artykuły i rozprawy, część zaś to krytyczne wydania dawnych tekstów prawniczych. Wśród tych ostatnich najcenniejsze są dwa tomy zatytułowane „Storodawne prawa polskiego pomniki”, fundament historii praw naszego państwa. Tom I ukazał się w r. 1856, II natomiast w r. 1870, już po śmierci autora. „Gdyśmy Helca po raz pierwszy widzieli — wspomina L. Debiński — już od lat kilku był przykutym do łóża. Jeden dzień przechodził wśród ciężkich bólów fizycznych, nazajutrz ulga i zdolność do pracy. Brał w rękę stare wolumina, które odczytywał skrzętnie, bo za dotknięciem w proch się rozsypany. Były to księgi sądowe z XIV i XV wieku. Mówił do przyjaciela, który mnie wprowadził: Jeszcze dwa lata tych meczarni, bo dwa lata potrzeba, abym skończył to dzieło... Tak też stać się miało. W dniu, w którym przyniesiono mi ostatni arkusz korekty „Pomników prawa”, przegotowany na śmierć, pożegnawszy kapłana i żonę, oczekiwał jeszcze rękopisu z korektą: chwycił w rękę, poprawił — i wyzionął ducha.”

Postać, poglądy i zasługi A. Z. Helca przypominał ostatnio WIESŁAW KOZUB w dwóch cennych książkach. Wypada jednak poświęcić osobną monografię całej tej rodzinie, która choć krwi obcej, chleba polskiego darmo nie jadła, a wszystkie owoce pracowitego życia trzech pokoleń oddała społeczeństwu w pomnikach budowanych i pisanych.

KUPIA UMARŁYCH

nych, słuchacz monachijskiej i wiedeńskiej akademii, wieloletni dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych, członek zagranicznych akademii, m. in. Academie des Beaux-Arts, Institut de France, zdobywca licznych nagród, złotych medali i wreszcie, wychowawca takich znakomitości jak J. Malczewski, J. Mehoffer, S. Wyspiański.

Rozczyszany w Słowackim i Mickiewiczu, rzetelnie przygotowywał się do spełnienia swego powołania. Studiował stare kroniki, interesował się archeologią, ale nade wszystko urzekły go zabytki Krakowa. Brał czynny udział w restau-

racji Sukienic i kościoła Mariackiego, był członkiem Komitetu Odbudowy Wawelu. Zresztą wawelskie wzgórze umiłował szczególnie. Powiadał zawsze: „Zamek to coś więcej, to sama chwala królów, narodu i świętych, tam potrzeba takiego blasku, takiego przepychu, któryby wszystko wyraził, wszystko przypominał, wszystko było godnym”. Objawiał tę miłość różnie... Brał udział w otwarciu grobów Kazimierza Wielkiego, Stefana Batorego, Jadwigi, Zbigniewa Oleśnickiego. Tu zapewne, w wawelskiej katedrze, sanktuarium polskich królów, zrodziła się myśl namalowania ich podobizn.

Dla niego, które od razu określiło pozycję Matejki, był „Stanczyk”. W wizerunku blazna królewskiego, którego twarzą Matejko nadał swoje własne rysy, wyraził artysta dramat szlachetnej jednostki, która jedyną wśród beztroskiego otoczenia widzi naddającą ją klęskę. „Kazanie Sikarki”, wystawione w 1864 roku, to pierwsza z większych kompozycji historycznych, która ściągnęła nań powszechną uwagę. Powitano w nim długo oczekiwanego malarza narodowego. Euforia nie trwała jednak długo. Po namalowaniu kolejnego obrazu, tym razem „Rejtana”, Kraszewski boleśnie dotknął malarza w „Rachunkach”, nazywając jego najnowszy obraz „obelżywym polickim przesłanką; obraz namalowany po mistrzowsku, pomysłowy jest po studentku. Piękny obraz ale zły uczynek. Polickowca trupa matki nie godzi się”.

Pewna dama z arystokracji wręcz zapytała: dlaczego maluje takie beczeczki i kto je kupi? Matejko odpowiadał: skoro kupowali żywych to i umarłych kupia. I miał rację. „Rejtan” stał się sensacją na wystawie w Paryżu w 1867 roku. Na był go sam cesarz Franciszek Józef za cenę 50 000 franków „zaraz wypłaconą”.

Ani popularność, ani zachwyt nie mogły odsunąć pogłębiającego się złęczenia. W liście do

Repr.: W. Klag

Adam Jerzy Czartoryski.

chwile, gdyż mają one ścisły związek z tajną dyplomacją Czartoryskiego). W rezultacie, w myśl zasady, że gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta — sultan turecki sam nadał Serbii konstytucję w 1838 roku, zwaną konstytucją turecką (Turski ustaw). Faktycznie była to jednak tylko namiastka konstytucji. Nie mówiła ona nie o u-
prawieniach skupszyny, natomiast ograniczała władzę Milosza przez ustanowienie przy nim stałej Rady, złożonej z 17 dożywotnich członków, mianowanych przez sultana i przed nim odpowiedzialnych. Kiedy z początkiem 1839 r. Rada została utworzona, a w jej skład weszli głównie przeciwnicy księcia (czego on się spodziewał i dlatego wcześniej za nie nie chciał dopuścić do jej powołania), Milosz abdykował na rzecz swojego syna Milana i opuścił Serbię, udając się do Austrii. Milan ciężko chory zmarł w parę miesięcy potem, a dziedzicem Milosza objął młodszy jego syn, zaledwie szesnastoletni.

W 1842 były opiekun ks. Michała Vucici, zacięły wróg Obrenowiczów, który skłóciwszy się z konsulem rosyjskim, musiał opuścić

światowej niwie: powstało około 200 szkół podstawowych, utworzono szkolnictwo zawodowe, wydano prawo o szkołach średnich i rozwinęto sieć gimnazjów. Liceum belgradzkie mu nadał prawa wyższej uczelni. Najpierw powołano Serbskie Towarzystwo Naukowe (1847), a w sześć lat później powstała Biblioteka Narodowa i Muzeum Narodowe. W ten sposób Ustavobranitelje, w stosunkowo krótkim czasie, stworzyli podstawy do dalszego rozwoju Księstwa Serbskiego, które w przyszłości sięgnie po pełną niezależność polityczną i z natury rzeczy stanie się dla wszystkich Jugosłowian, zwłaszcza dla tych, którzy pozostali jeszcze w tureckiej niewoli, siłą przyciągającą i ośrodkiem zjednoczenia. Właśnie — taką świadomość własnej misji w świecie jugosłowiańskim osiągnęli Ustavobranitelje w czas swoich rządów. Wyrazem tego jest tzw. „Nacertanije” Ilji Garašanina, czyli program zagranicznej i narodowej polityki Serbii. Ilja Garašanin (1812—1874), jeden z głównych organizatorów przewrotu w Księstwie i w przyszłości uznany, wybitny mąż stanu Serbii dziewiętnastowiecznej,

przypadła datowanym z 23 grudnia 1867 roku Matejko pisał: „... Nie umiem sobie z tego zdać sprawy, bo zdawałoby się, że wszystko i przynajmniej wiele, tak się składa, żeby nam zapewnić spokój i szczęście. Drugiego, może i w całości częstotliwość doznaję, pierwszego jednak brak czuję. O ile znam siebie, unoszę, że powodem jednym z uczynnych jest jeszcze pewna, niedostatecznie rozwinięta skala pracy do jakiejś dotąd zabierając się nie mogłem, czy nie umiałem”. Nieprawdopodobnie! Wyrzuca sobie, że jeszcze nie dość pracuje. W niespełna trzy lata potem kończy kolejny obraz, jest nim „Unia Lubelska” i znowu niepokój! „Niemal skończony, może być świetnym — stwierdza — jeżeli to te ostatnie godziny Bóg taksi nie odwróci... Spiewam zatem „Kto się w opiekę... rad bym Te Deum zaintonował”. Na wystawie w Paryżu „Unia” otrzymała Krzyż Legii Honorowej, wielki złoty medal. Następne obrazy „Batory pod Pskowem”, „Kopernik”, „Bitwa pod Grunwaldem” krytyka przyjmuje początkowo zyciowie. W 1882 roku powstaje „Hold Pruski”. Paryż przyjął obraz. Innego zdania byli szlachowie w Berlinie, przyznali złoty medal. Jednakże stary cesarz Wilhelm wystąpił ze swoim weto i Matejko medalu nie dostał.

Krytycy coraz śmielej czynią Matejce wyrzuty. „Realista w szczegółach, nie jest dość realistą w koncepcjach swoich kompozycji, które mocno potracają o symbolizm, nie jest Matejko w portretach psychologiem, życie wewnętrzne tych figur pozostaje ukryte, on maluje masek zewnętrznych swoich modeli, w kompozycjach natłok, chaotyczność, brak perspektywy”. Ale nawet ci najwięksi wrogowie jednogłośnie stwierdzali, iż „przedmiot swój mistrz Jan pojmował wrażliwie a w sobie nosił wysoły ideał”. Polichromia wykonana w Kościele Mariackim nieco jakoś złagodziła atmosferę wokół Matejki, nie na długo jednak.

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

Znają ich już średniowieczne jarmarki. Litoskoczek, trenerzy zwierząt popisywali się wśród kramów i żyli z datków. Zorganizowane widowiska cyrkowe zaczęły powstawać w Polsce dopiero w XVIII wieku a w końcu XIX w. Aleksander Ciniński założył w Warszawie stały cyrk. Również to lat temu powstaje pierwszy polski cyrk objazdowy pod namiotem, stąd rok 1883 przyjęło się uważać za początek tej sztuki w naszym kraju. Pierwsze lata XX wieku to dla polskiego cyrku okres świetności, nasi artyści docierają aż na Daleki Wschód. Cyrci braci Barańskich, Muszyńskich, Musiajewych i Staniawskich znane były i podziwiane. Zwłaszcza bracia Staniawscy podnieśli rangę sztuki cyrkowej na wyżyny. Nowoczesna oprawa plastyczna widowisk, umiejętność łączenia ich z wodewilem i operetką zapewniły im powodzenie i trwałe miejsce w historycznych annałach. Popularne duety kłownów — Bim-Bom i Din-Don uważane są za świetne wzorce satyryczne.

Dziś do przedsiębiorstwa Cynk Polski należy osiem cyrków nadzorowanych przez Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. Po zakończonym sezonie wszystkie cyrci jeżdżą do zimowej bazy w Julinku, artyści mogą wykorzystać urlopy, pomieszkają w normalnych domach, odpocząć aż do kwietnia, do nowego sezonu. Ale już zwiłki po miesiącu zaczyna brakować im magii areny, oklasków, aplauzu widzów, atmosfery wędrownego życia.

Na krakowskich Błoniach kończy tegoroczny sezon Cyrk Wielki. Codziennie głośne orkiestrowe entre ogłasza dla przeszło trzytysięcznej widowni początek zabawy, a dla sześćdziesięciopięciopięcioro zespołu wezwanie do pracy. Na rzęście oświetlonej arenie wbiegają zwinnie i sprężyste artyści, rozpoczyna się parada. W świetle reflektorów iskrzą się cekiny, powiewają piropusze, błyszczą złote i srebrne szamerowania kostiumów. Tanie efekty, atmosfera lunaparku i odprężenia. Poszczególne „numery” wywołują co chwile burzę oklasków. Klasczka również wyresowane przez Mikolajczyków foki nagradzane za każdy popis świeżą rybą, tańczą i grają w piłkę z zamykanym W. Giedroycia i H. Budzyna. Bracia Formella — zdobywcę srebrnego medalu na Festiwalu Sztuki Cyrkowej w Paryżu wzbudzają podziw wspaniałą żonglerką. Zespół Edwarda Sysiała wykonuje akrobacje zwane perchemi. Fruwają nad areną ludzie jak z gumy, efektywnie i zwinnie przeskakując z jednego krańca areny na drugi, chwytając się w powietrzu, czasem zawiadając jakis miesiąc, partner stabilnie przetrzymuje za rękę i... popis zepsuty. Rozpłata nad areną assekuracja siatka chroni przed nieszczęśliwym wypadkiem ale nie jest to zabezpieczenie stuprocentowe. Upadek może się zdarzyć obok niej.

Państwo Brüningowie też wiedzą co to znaczy ryzyko. Lucyna Brüning od 25 lat tresująca niedźwiedzie nieraz była podrapana, bo jej podopieczni — Kasia, Saba i Łajka miewają swoje humory. Z pozoru łagodne i rubaszne, mogą zaatakować znieścaka, nigdy nie wiadomo kiedy. Nie znoszą nienaturalnych zapachów — odrobina perfum czy dezodorantu nie mówiąc o kropli alkoholu, wywołać może tragiczną w skutkach reakcję. Te niezdarnie, powoli poruszające się zwierzęta wyglądające jak wycięte z animowanej bajki dla dzieci, nie

znają w chwili gniewu litości. Dla Urszuli Rembowski i Kazimierza Dulasa moment nie uwagi, dagniecie mięśni może oznaczać tragiczny finał życiowej przygody w cyrku. K. Dulas rzucający dużymi nożami trafia za każdym razem w tarczę, na ile której stoi jego partnerka, umiejętnie odchyłając się za każdym razem. O powodzeniu decydują milimetry. K. Dulas doskonale zna treść słowa ryzyko, przez wiele lat był jedynym polskim trenerem wkładającym głowę do paszczy lwa, przyciśniętego „zajęcia” swoją córką, która początkowo była pielęgniarzką tresowanych przez ojca dzikich zwierząt a obecnie sama jest pogromczynią. Grażyna Wałuszko daje popis swoich treserskich umiejętności w klatce, w której dwa lwy, dwa jaguary, czarna pantera i dwie pumy czekają tylko aby zaczęła zdradzać niepokój. Zwierzęta bardzo tego nie lubią, choć w cz-

nowany „numer” ryzyko ponoszą wyłącznie oni sami. A dodatków za ryzyko w cyrku nie ma. Dlatego wszystkich cechuje dbałość o własną kondycję fizyczną, ciągły trening jest w tej pracy konieczny, zwłaszcza wśród trenerów i akrobatów. W trakcie sezonu zdarza się we wszystkich ośmiu polskich cyrkach kilkanaście wypadków, nie jest to — zważywszy trudne warunki i niebezpieczną pracę — zbyt wiele.

Cyrk rządzi się podobnymi prawami jak każde inne przedsiębiorstwo, przepisy nie uwzględniają specyfiki zawodu współczesnego kuglarza. Artysty otrzymują wynagrodzenie miesięczne (w różniocennej wysokości uzależnionej od stażu pracy, skali trudności występu itp.), w czasie sezonu 50 proc. dodatków do pensji, co daje w sumie kilkanaście tysięcy.

CYRK



Pogromczyń Grażyna Wałuszko: rozdrażnionych zwierząt nie nie powstrzyma od ataku.

się występu są najedzone i nastawione pokój. Czasem jednak odmawiają posłuszeństwa, nie chcą skakać przez płonące koła, wtedy szwaczka bat, nie może być nadużywany, bo rozdrażnionych zwierząt nie nie powstrzyma od ataku.

omaturalne Studium Sztuki Cyrkowej w Julinku corocznie ogłasza nabór kandydatów do tego barwnego ale i bardzo trudnego zawodu. W tym roku przyjęło 45 osób ale zapewne nie te wszystkich — jak mówi praktyka — będzie w cyrku pożytek. Czasem lepsze jest przyciśnięcie do zawodu przez kogoś z cyrkowej rodziny. Takich rodzin jest w cyrku wiele. Obecnianie z areną od dzieciństwa daje najlepsze rezultaty, cyrk ma się wtedy we krwi. W ramach międzynarodowej współpracy lub bezdeklaracji wymiany, można wyjechać za granicę na kontrakt. Na tej zasadzie pracuje w tym sezonie w Cyrku Wielkim zespół rumuński Dumitrescu. Przed każdym sezonem kwalifikuje się też do pracy na arenie ludzi posiadających odpowiednie umiejętności. W tej pracy liczą się tylko one, doskonale zdaje sobie z tego sprawę komisja kwalifikacyjna. Artysty wiedzą, że za nieodpowiedzialność opa-

Do tego dochodzą diety w takiej samej wysokości jak przysługują pracownikom innych zakładów, jedynie artyści z zespołów zagranicznych otrzymują diety 600-złotowe. Na takich samych zasadach jak w innych przedsiębiorstwach przysięła się etatowym pracownikom świadczenia socjalne — renty, emerytury, wczasy, sanatoria itp. Po każdym sezonie rozdzielają się premie, jeśli oczywiście cyrk zapracuje na nie a to zależy od frekwencji, ilości widowisk, sprzedanych biletów, całej ekonomicznej działalności.

MICHAŁ BOGUSZEWSKI dyrektor Cyrku Wielkiego jest z obecnego sezonu zadowolony, plany ekonomiczne zrealizował jeszcze przed jego zakończeniem, dopisywała widownia, ciągle grał przy pełnych kompletach. Będą więc premie dla zespołu, będą cekinki na rewaloryzację starego Krakowa, któremu Cyrk Wielki dał w prezencie dochód z widowiska w dniu 17 października. Oplaciło się zrezygnowanie z transportu kolejowego, zakupienie sześciu ciężarowych jeliczy znakomicie skróciło przemieszczanie całego cyrkowego gospodarstwa z miasta do miasta. Krócej, sprawniej i taniej. Prawie setka cyrkowych wozów jedzie kawałką a w nich kuchnia, sauna, łazienka, toalety

i mieszkania. Każdy wóz podzielony jest na dwie mieszkalne części, każda z osobnym wejściem. Wyposażone w niezbędne sprzęty, gaz i wodę, są na siedem miesięcy dla ludzi cyrku namiastką prawdziwego domu, dla wielu jest to dom właściwy, do którego tęsknią w czasie międzysезонowej przerwy.

W cyrku wszyscy o sobie wszystko wiedzą. Kłopoty i radości jednego są udziałem całego zespołu. Siedmiomiesięczne, pobiwakowe życie stwarza atmosferę pierwotnej wspólnoty. Tu wychowują się dzieci cyrkowych małżeństw, spędzając dzieciństwo między namiotem a domem na kółkach. W Cyrku Wielkim jest ich piętnaścioro, oczywiście tych młodszych, starsze uczą się w szkołach z internatami lub mieszkają w rodzinie. Linda jest najmłodszą. Spędziła już w cyrku dwa lata i ośmiem miesięcy. Podczas gdy jej rodzice — Halina Leśniewska i Ryszard Gaber wykonują nad areną skomplikowane akrobacyjne popisy, bawi się lalką w wydzielonej na garderobę części namiotu. Tu spędza czas, kiedy rodzice mają trening lub występ. Jest wtedy niespokojna. Obserwuje ją w momencie gdy głuchy akompaniament orkiestry podkreśla grozę chwili. Wysocko pod pulapem namiotu na zawieszono na sztyl pętlę wirując w błyskawicznym, zwrotnym tempie jej matka. Pętlą jest jedyna asekuracja, nieodpowiednie jej założenie może spowodować uraz kręgosłupa. Halina Leśniewska padająca tragiczny upadek, na szczęście podczas próby, więc z niezbyt dużym wysiłkiem. Cisza na widowni i pomruk orkiestry, mała Linda wykręca ręce i nogi lalki w różnych kierunkach. Konferansjerka bierze ją w ramiona i zabawia. Obok czekała w pełnym rynsztunku pieski rumuńskiego tresera. Dzieci z jego zespołu wykonują przewroty, stają na głowach, rozgrzewają się przed swoim występem. Burza oklasków, to koniec akrobacyjnego popisu duetu Leśniewska-Gaber. Linda się ożywia, biegnie do rodziców, wyrwa matce kwiaty, które ta otrzymała na arenie. Wszyscy troje są bardzo szczęśliwi, akrobata składa na swój skapy, wszyscy cekinami kostiumu frotowy szlafrok i udaje się do „domu”. Linda musi iść spać, na pożegnanie mówi, że będzie kiedyś pracować „na palotce”. Słowo palotki oznacza w cyrkowym języku trudne salta w powietrzu.

W garderobie coraz mniej artystów, widowsko dobiega końca. Pracownicy techniczni i kłowni czuwają aby wejść w odpowiednim momencie na arenę, jedni będą usuwać z niej zbędne już przyrządy, zmiatać trociny, drudzy zabawiać publiczność. Trzej kłowni nie mają nic wspólnego ze słynnymi poprzednikami z Bim-Bomu i Din-Donu, są kłowniami „dywanowymi” zapelniającymi czas podczas ściągania czy poprawiania dywanu na arenie Ostro wymalowane usta, kolorowe jarmarczne stroje tu w garbierobie sprawiają, że wyglądają oni smutno. To dziwne ale kłowni ma w sobie zawsze coś tragicznego, jedynie dzieci bawią się przy ich reparytach doskonale.

Za chwilę opuszczone widowiska ale na arenie ćwiczyć będą jeszcze akrobaci. Nie można pozwolić sobie na zaniedbanie się. Rano będzie kolejny trening, bieganie dla zachowania kondycji a wieczorem znów zapelnia się namiot i zabrzmi muzyka z orkiestronu. Po prostu cyrk. To słowo używane jest najczęściej z pejoratywnym akcentem. Mówi się „ale cyrk” robić „cyrk” itp. Rodzaj sztuki zaś określają tym mianem sytuowany jest daleko na peryferiach kultury. Tymczasem z tego pogranicza kultury korzystają miliony ludzi w różnym wieku, bo język tej sztuki rozumiały jest dla wszystkich.

URSULA ORMAN

PSYCHE u TEMIDY

pomówmy jeszcze o problemie tajemnicy lekarskiej. Nie tak dawno głośny był artykuł, w którym opisano szczegółowo wszystkie psychiczne zasłogi obwinionego, nazywając je „po imieniu”. Co na to psychiatrzy?

— Swoje stanowisko wyraził mi w trakcie sesji psychiatrycznych. Mieliszy też dyskusję z dziennikarzami, którzy bardzo się boją, że tajemnica lekarska uniemożliwi im referowanie wielu smakowitych spraw. My jednak wychodzimy z założenia, że każda indywidualna krzywdza jest na wadze sprawiedliwości cięższa niż tzw. dobro społeczne, mające rzekomo wynikać z faktu opisania cudzych spraw intymnych.

— Dziennikarzy nie broni, artystów, o którym mowa, był wbrew etyce nie tylko zawodowej, ale błądzący szczerzy lekarze też nie najlepiej chronią tajemnicę, do której zobowiązuje ich przysięga Hipokratesa! Iż to raczej stępszy się jak bawia towarzyszą anegdotami o swoich pacjentach.

— To prawda. Również system kamt chorobowych z numerkami chorób uświadamia każdą kadrową, kto w zakładzie zwariował, a kto przetrwał ciężką. Tajemnicy lekarskiej źle bronimy — wchodzi to już w zwyczaj.

— Musimy już kończyć rozmowę. Wynika z niej, że wiele spraw psychiatrycznych wymaga gruntownej odnowy. Dziewiętnastowieczny model szpitalny przetrwał się — co dalej? I w ogóle — jaki jest los reformy? Co z ustawą?

— Nie została uchwalona. A szkoda. To był projekt bardzo nowoczesny, wolny od skrajności. Jego autorzy z prof. dr. Stanisławem Dąbrowskim na czele chcieli uniknąć wszystkich błędów psychiatrii, które w obecnym systemie prawnym nie są wykluczone. Jeden z paragrafów projektu np. stwierdzał, że nie wolno pozostawiać w rękach psychiatrów wyłącznej odpowiedzialności za los chorych, że decyduje o wielo-

letniej, czy nawet dożywotniej izolacji w szpitalu nie mogą zapadać bez kontroli sądu. Niestety, niektórzy socjologowie zawolali, że to przymus. Nie! Przeciwnie, tą ustawą próbowało się go ograniczyć!

— Poprzedni projekt ustawy psychiatrycznej z roku 1970 był bardziej „tradycjonalistyczny”. Ten późniejszy, o którym mówimy, świadczy — według publicysty Jacka Maziarzkiego — o tym, że — cytuję — „mniejszy już tendencje do przekształcania psychiatrii w medycynę stanu wyjątkowego, gdzie dopuszczaloby się rozstrzygnięcie o losach ludzi w trybie przyspieszonym i bez kontroli prawa”. To były m. in. nadzieje redakcji „Polityki” z roku 1976. W roku 1980 — projektu nie uchwalono, chociaż był ukończony i wysiłkiem trwałym ponad pół wieku. Co teraz?

— Teraz znowu się mówi na temat ustawy o ochronie zdrowia. Ta nowa wersja jest zbyt ogólna i nie odpowiada randze zagadnienia, jakim jest zdrowie psychiczne. Np. nie przewiduje już — co przedtem postulowaliśmy z naciskiem — stworzenia przy Radzie Ministrów i przy wojewodach, społecznych rad zdrowia psychicznego. W ich skład mieli wchodzić: lekarze, duchowni, psychologowie, socjologowie, działacze. Chodziło o to, by problem zdrowia psychicznego uczynić naszym wspólnym zmartwieniem. Przecież to nie tylko sprawa braku miejsca w szpitalu, ale zastrudnienia, mieszkanka i w ogóle miejsca na ziemi dla kogoś, kto zwalcza chorobę. Skreślono nam też z nowego projektu nasze ukochane „minimum psychiatryczne”, które zobowiązywało władze terenowe do zorganizowania sieci podstawowych placówek opieki i pomocy, z ośrodkami dziennymi włącznie. Bez tego na nie intencje ustawodawcy! Nadal pozostanie nie-ludzki tłupek w szpitalach i nadal nasi chorzy będą pasierbem wszystkich resortów.

— Dziękuję za rozmowę.

EWA OWSIANY

Kupowali żywych

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 5)

Matejko ukończył swój ostatni wielki obraz historyczny „Konstytucja 3 Maja”. Pragnął go ofiarować Sejmowi Galicyjskiemu, a w przyszłości sali sejmowej w Zamku Warszawskim. Ten akt woli stał się powodem konfliktu. Matejko był gorącym orędownikiem zabytków Krakowa, ciągle ubolewał nad ich niszczeniem i zaniedbaniem. Dowiedział się o decyzji nakazującej burzenie zabytkowych budowli po szpitalu Św. Ducha, ostro zaproteściwał, zwracając otrzymane swego czasu honorowe obywatelstwo Krakowa i oświadczał stanowczo... „...obraz w rocznicę stulecia namalowany był ostatnim, jaki wystawiłem na widok publiczny, innych więcej Kraków oglądać nie będzie... żal do miasta rodzinnego mna powołać... tych co złą wolą mnie dotknęli a upokorzyć chcieli, nie wyniadam... bo za nikczemni!”

Kraków, ulica Floriańska, dom Matejki w 90 lat po jego śmierci, październik 1983 rok. Strome schody ledwo pozwalają wdrapać się na trzecie piętro roztulającą się kamienicę. Wszędzie drewniane stęple, rusztowania, pełno kurzu, desek. Od trzech lat w Muzeum Matejki trwa remont. Dziwny to remont, podczas którego bywają dni, że nie widać ani jednego robotnika. Stąd kustosz Domu Matejki pani MARIA PRZEMECKA, co roku zmienia piętra, żeby znaleźć choć skrawek wolnego miejsca dla siebie i dokumentów. Po pracowni mistrza tylko ślady i... piękne lustro. Kto pamięta, kiedy do Domu Matejki przychodziło się żeby popatrzeć na Stańczykową czapkę czy piękne meble, niech do teraz zapamięta to co widział, bo chyba nierzadko zobaczy to wszystko ponownie. Wykonawca: Przedsiębiorstwo Rewaloryzacji Zabytków, istnieńce rewolucyjne, ale tylko w wyznaczonych przez siebie terminach, to znaczy raz może dwa razy do roku kawałek instalacji czy ścian. W tym tempie może na 100. rocznicę, za dziesięć lat, zdążyć zrewaloryzować chociaż jedno piętro...

IZABELA PIECZARA

ZADUSZKI JAZZOWE

(CIAŁ DALSZY ZE STR. 3)

zarejestrowanym w Krakowie jeszcze w 1926 roku! Fakt jest wszakże faktem, toteż w związku z tym najstarszy polski festiwal jazzowy stał się swolista kotwicą utrzymującą kontakt z coraz bardziej oddalonym brzegiem. „Zaduszki” to po prostu synonim tak trwania, jak i odrębność tego niewielkiego środowiska, które tworzy w Polsce jazz.

Różne były koleje krakowskiego festiwalu po heroicznym początku w podmiejskiej szkolnej sali gimnastycznej. Gościł w Krakowie twórców jazzu żeglarskie, oficerowie, kolejarze i inni. Bezdomnych krakowskich jazzmanów w 1957 roku przysięgła na ich święto Filharmonia Krakowska. Jako pierwsza bodaj w Polsce, co było dla niej zresztą przez lat wiele tytułem do chwały i wzorem do naśladowania. W sali Filharmonii koncerty zaduszkowe odbywały się (z niewielkimi wyjątkami) do ubiegłego roku włącznie. Występowała w nich muzyka z całego świata, od Związku Radzieckiego poczynając, po Stany Zjednoczone, od Skandynawii po Malaję. Grał Stan Getz i Herman Lukianow, Woody Herman i Peter Herbolzheimer, „Art Ensemble of Chicago” i wielu innych wspaniałych artystów najwyższej światowej miary. Niestety owa tradycja została w tym roku przerwana...

W miniony poniedziałek i wtorek odbyły się XXVIII „Zaduszki”. Niewątpliwie mniej ciekawe od innych i trudne do obronienia w konkurencji z fantastycznie tego roku obsadzone warszawskim „Jazz Jamboree”. Niestety obsada tegorocznych krakowskich festiwalu światowym gwiazdom nie była tym razem możliwa. Z jednej strony za sprawą

wzrostu ich finansowych wymagań, z drugiej zaś po prostu przez niemożność odpowiedniego ich wyeksponowania. Nie obejrzel więc krakowianie fenomenalnego „Jack DeJohnette Special Edition” (które wystąpił w Filharmonii Wrocławskiej), nie zobaczyli. Innych wirtuozów jazzu, których można by było zaprosić, gdyby im było gdzie urządzić koncerty.

Tegoroczne „Zaduszki Jazzowe” w istocie odbyły się mogły dzięki heroicznej decyzji dyrektora Mariana Celejewskiego pozwalającej na wykorzystanie dla celów koncertowych sali kina „Kijów”.

Poziom zaduszkowych koncertów Anno'83 jako się rzekło, nie był najwyższy. Nie mnie zresztą oceniać same imprezy (jako prowadzącemu je w imieniu gospodarzy, krakowskich muzyków). Jakby wszakże nie wywiązać się od ocen, jakby nie opinać delikatnej kwestii osobistego zaangażowania — trzeba jednak ów fakt niepełnej artystycznej satysfakcji podkreślić. Właściwie jedynie kilka pozycji programu podnieśli widownię. W poniedziałek orkiestra odnosiła sukces u słuchaczy była „Jazira”, osobliwy, piętnastoosobowy zespół złożony z białych i czarnych muzyków oraz tancerzy, pochodzących z Ghany, Sierra Leone, Górnej Wolty, a także z Anglii. W afrykańskich językach (Twi, Ga, Awe), zmieszane brzmieniem elektrycznych instrumentów oraz sekcji dętej — zaprezentowała „Jazira” piosenki i melodie przypominające najgłębsze, afrykańskie korzenie muzyki jazzowej.

Z gości zagranicznych tegoroczne „Zaduszki” nie miały specjalnej jednak pociechy. Ani „Jazira”, ani wybitny amerykański saksofonista Frank Foster, ani orkiestra z Pori (Finlandia), ani francuskie trio Rene Utergera nie są po prostu postaciami przewodzącymi na światowych listach wybitniejszych muzyków.

Wobec stosunkowo nie najlepszej zagranicznej obsady — ciężar artystycznej odpowiedzialności za „Zaduszki Jazzowe 83” spadł na muzyków polskich. Polskę jazz prezentuje od dawna poziom europejski. Niewiele to znaczy co prawda w tzw. kate-

goriach bezwzględnych, zwłaszcza wobec faktu iż jazz ostatnio rozwija się przede wszystkim w Ameryce — niemniej znaczy to przecież, że czołówka polskich muzyków (a taka wystąpiła w Krakowie) godna jest uwagi. Potwierdziło się to zwłaszcza w przypadku najwybitniejszej bodaj twórczej indywidualności, jaką dysponuje polski jazz — Tomasz Stanki. Potwierdziło się też w przypadku ekspresyjnego „String Connection” Krzyszimira Dębskiego, w przypadku krakowskiego „Extra Ballu” Jarka Śmietana czy wreszcie wokalisty Stanisława Sojki i grupy jego utytułowanych muzycznych przyjaciół (m. in. z Wojciechem Karolakiem). Okazało się, że muzyki najwybitniejszych polskich twórców jazzu publiczność słucha zawsze chętnie...

Nie przebieg tegorocznych krakowskich „Zaduszek” jazzu, nie poziom występujących w nim artystów jest przedmiotem tych zdań. Tym, co najbardziej interesujące z okolicznościowej, świeższej perspektywy — jest wywołanie z zapomnienia sprawy. W przypadku „Zaduszek Jazzowych” wywołanie myśli o przedziwnych meandrach losów, jakim przez lata swej działalności podlegał krakowski (a w zasadzie nie tylko krakowski) ludźmi jazzu.

Choć współczesny kulturowy nadal nie wie co to jest jazz, czy jazz jest sztuką — to owa uporczywa działalność krakowskich jazzmanów sprawiła przecież, że wątpliwość takich nie ma publiczność przedkładająca koncert „Zaduszek” nad inne, prostsze uciechy. I choć to ciągle niewiele — cieszy się i z tego. Może za dalsze lat trzydzieści będzie nieco lepiej? A jeśli tak — to na pewno za sprawą m. in. jazzowych „Zaduszek”, powstałych w przypadkowy sposób, w spontanicznym zrywzie kilkudziesięciu zapaleńców instytucji polskiej (i krakowskiej) kultury. Festiwalu, czy raczej spotkania wywołującego historię i stanowiącego wirtuoz dnia codziennego naszego jazzu.

JAN POPRAWA

PRACA

STOLARZA samodzielnego zatrudni pracownia stolarska, Kraków, Mazowiecka 131, tel. 33-36-27.

NAUKA

MATURA eksternistyczna systemem przypisanym — Rychno, tel. 33-75-24.

TANCE towarzyskie — kursy miesięczne — organizuje KUSP „Gromada”, Wpisy: ul. Jana 13, w piątki, tel. 22-86-85, w godz. 11-18.

KUPNO

PRZEDWOJENNE tygodnik i książki — kupie, Oferty: 70923 „Prasa” Tarnów, Krakowska 12.

PIECYK elektryczny z piekarnikiem — kupie, Oferty 70955 „Prasa” Kraków, Wiślna 2.

NOWE nadwozie Fiat 126p — kupie, Stanisław Mamak, Lłanowa ul. Świerczewskiego 53, tel. 190, wieczorem. g-73752

SPRZEDAŻ

SPRZEDAŻ w bardzo dobrym stanie radiomagnetofon „Klaudia” RM-300, radiodiodobornik „Julia” RM-300, magnetofon „Finex” z złączkami, Listy: 11215” Biuro Ogłoszeń, Katowice.

RADIOODBIORNIK Radmor 5105 stereo, kolumny głośnikowe 40 W, 4 Om, gramofon „Daniel” Hi-Fi-deck, radiomagnetofon RM-221 — sprzedam, Listy: 11216” Biuro Ogłoszeń, Katowice. K-7372

PIEC c.o. gazowy, 7 m, automatyczny, oszczędny — sprzedam, Brzeska ul. Świerczewskiego 10 B, tel. 318-34. g-73718

SAMOCHOŚĆ Star — tanio sprzedam, Jan Lizak, 34-620 Jodłownik, tel. 30, woj. nowosądeckie.

SYRENE R-20 — sprzedam, Bochnia, tel. 248-10. T-70925

WÓZEK inwalidzi, nowy, napęd ręczny, sprzedam, Katarzyna Rzepnicka, Dom Opieki Społecznej, Tarnów, Szpitalna 56.

ZASTAWA 1100p, fabrycznie nowa (czerwień) — sprzedam, Oferty 70912 „Prasa” Tarnów, Krakowska 12.

WARTBURG 312 sprzedam, Tarnów, Rolnicza 8/14. T-70914

CIĄGNIK własnej konstrukcji, z podnośnikiem — sprzedam, Jerzy Sojka, Równi 17, gmina Liliomanowa. S-70932

FIAT 126p, inwalidzi, stan bardzo dobry — sprzedam, Oferty: 70920 „Prasa” Tarnów, Krakowska 12.

LOKALE

TARNÓW! Spółdzielca, trzy-pokojowe, zamienie na Kraków, Wiadomości: Tarnów, tel. 63-69.

Wózek widłowy akumulatorowy

typ EP 0601, udźwąg — 600 kg, wysokość podnoszenia 3000 mm, nieznaczny stopień zużycia —

sprzeda

Spółdzielnia Pracy Metalowców „PRZYSZŁOŚĆ-ELEKTROMET” w Świątkach Górnych, woj. m. krakowskie.

K-6350

KOMUNIKATY

Okresowy Inspektorat Gospodarki Energetycznej w Krakowie uniemożliwia zaginięcia pieczątki o treści: „Okresowy Inspektorat Gospodarki Energetycznej Al. Mickiewicza 31, 31-120 Kraków — 5”.

K-7897

Bank Spółdzielczy w Żyrardowie uniemożliwia zaginięcia pieczątki o treści: „Bank Spółdzielczy konto bankowe nr 85140-143-138 NBP o/Dębica 39-204 w Żyrardowie k/Dębicy, telefon 12-24 — 3”.

K-7875

Inwalidzi i renciści!

Atrakcyjna i dobrze płatna praca czeka na Was!

SPÓŁDZIELNIA INWALIDÓW

„TARNOSPIN”

w Tarnowie, ul. Okrężna 4a,

ZATRUDNI NATYCHMIAST

do pracy nakładczej, przy szyciu rękawic roboczych.

◆ INWALIDÓW ◆ RENCISTÓW ◆

Warunki pracy i płacy do uzgodnienia w Dziale Zatrudnienia, Tarnów, ul. Okrężna 4a, tel. 57-51, wewn. 27. K-6104

Przedsiębiorstwo Przemysłu Betonów „PREFABET”

KRAKÓW, ul. CENTRALNA 53,

ZATRUDNI natychmiast

● SPECJALISTĘ ds. osobowych

● KSIĘGOWYCH

● RAZ

● BETONIARZY i ZBOJARZY

i PRACOWNIKÓW do przyuczenia w tych zawodach.

Przedsiębiorstwo przyjmie również absolwentów i kół wymienionych zawodów oraz innych o zbliżonych specjalnościach.

Przedsiębiorstwo zapewnia:

— wynagrodzenie wg zasad określonych zakładowym regulaminem

— świadczenia socjalne i bytowe, tj. kolonie, wczasy, posłki regeneracyjne i wyżywienie w stółce

— dla mężczyzn hotel pracowniczy

— specjalne uprawnienia wynikające z Karty Pracownika Budownictwa, w tym możliwość zakupu materiałów budowlanych.

Zgłoszenia przyjmujemy i bliższych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia, tel. 44-37-22, wewn. 333.

Dojazd tramwajami linii nr nr 1 i 22 lub autobusami linii nr nr 148 i 125

K-5392



DYSKRETNY UROK

Wchłonił nas w świat codzienności, obowiązków, kłopotów i pospiechu. Ale zastanówmy się przez chwilę: jak powinniśmy wyglądać, jak dobrać do siebie idealny? To nieprawda, że działają na nas tylko siły, że to kosztowne. Przede wszystkim potrzebne są dobre chęci. Trzeba zadbać, by nasze włosy były zawsze puszyste i ładnie uczesane. To, że fryzjerzy drogi, że nie mamy czasu, nie zwalnia nas z tego obowiązku. Modne są fryzury, które z łatwością zrobimy same, w domu, ale pod warunkiem, że włosy są dobrze ostrzyżone. Jeśli nosicie dłuższe włosy — warkocz, gładki kok, który dodaje szlachetności naszej twarzy — to będzie to.

Milo Pani! Nie malujecie się tak samo jak przed dwudziestu laty. Rutyna i konserwatywizm najbardziej postarza, a zawiązywanie przyczynienia w metodach poprawiania urody to już kłeska. Dlatego, przynajmniej dwa razy w ciągu roku musimy wypróbować nowy kolor szminki, czy pudru, nowego rodzaju makijażu. Najlepiej w tej sprawie zasięgnąć porady u własnej córki lub kosmetyczki. Ale proszę pamiętać że:

- trzeba wszystkie nowinki wypróbować na sobie, nie przed wyjściem z wizyta, ale w wolne popołudnie, które mamy zamiar spędzić w domu,
- nowości dostosowujemy do siebie, do swego stylu, typu urody, wieku,
- świadectwem wieku, schludności i zadba-

nia są zawsze ręce. Pielęgnujmy je, dbajmy o nie. Jeśli malujemy paznokcie, pamiętajmy, że nie ma nic brzydszego, niż odprędkający lakier.

- niech zapach naszych perfum nie przyprawi innych o ból głowy,
- nie ubierajmy się do pracy zbyt jaskrawo, zadajmy o dodatkę. Paseczkę, modne kłasy, broszkę, krawadek — to drobniaki zawsze dodają uroku.

PIELĘGNOWANIE RĄK

Do utrzymania gładkiej skóry na rękach przyczyniają się kąpiele rak. Można je kąpać w wodzie słonej, dodając 10 dkg soli na litr wody. Kąpiele powinny trwać 20 minut w wodzie jak najcieplejszej. Po tej kąpiele myjemy ręce wodą zwykłą i mydłem, wcieramy krem odżywczy.

Kąpiele w oliwie raz w tygodniu pozwoli na utrzymanie rąk w dobrym stanie. Oliwę lub olej jadalny podgrzewamy w miseczce do temperatury przyjemnej dla skóry rąk. Kąpiele w oliwie trwać powinny 10 minut. Pojemnymy ręce w ciepłej wodzie delikatnym mydłem i wcieramy krem odżywczy. Oliwę do kąpiele można używać kilkakrotnie. Dobrze działa na ręce gliceryna zmieszana ze spirytusem w równych częściach i z odrobiną soku cytrynowego.

Cienne plamy, które powstają przy pracy w gospodarstwie, zwłaszcza przy obrabianiu żyrny, można usunąć sokiem cytrynowym lub sokiem z rabarbaru.

KIEŁKI

Kiełki stają się modne na całym świecie, nie tylko kiełki pszenicy, ale także grochu, fasoli, soi. W wielu krajach można kupić je na wagę, świeże lub suszone, w konserwie, luzem i pięknie opakowane.

DLACZEGO SĄ TAK POLECANÉ?

- Należą do najbardziej naturalnych produktów spożywczych.
- Zawierają białko roślinne potrzebne do budowy i odbudowy komórek i tkanek.
- Mają dużo witaminy E oraz nienasyconych kwasów tłuszczowych obniżających poziom cholesterolu we krwi.
- Zawierają witaminy grupy B, a te sprzyjają zdrowemu sercu, nerwom, skórze, krwi, mózgowi.
- Mają żelazo, a więc chronią organizm przed anemią.
- Zawierają cenny magnez, którego brakuje w naszej diecie, a jest on potrzebny dla dobrej pracy serca, także ratuje kości przed rzesztawieniem.
- Zawierają też potas, który nie dopuszcza do zwióznienia mięśni.
- Są bogatym źródłem błonnika zapobiegającego wielu dolegliwościom przewodu pokarmowego.
- Lit i chrom to cenne mikroelementy znajdujące się w kiełkach.

Jeśli będziemy jeść kiełki, ich cudowne działanie odżywcze na własnym organizmie, ale tylko wtedy, gdy będziemy spożywać je co-

dzienne, w odpowiedniej ilości i przez dłuższy czas.

JAK HODOWAĆ KIEŁKI:

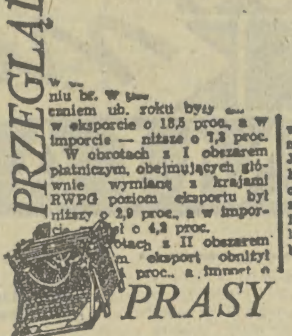
Przygotowujemy trzy szklanki i na każdej kładziemy plastikowe sieteczko. Do pierwszej szklanki nalewamy wody a na sietko wysypujemy żytkę ziaren pszenicy. Na drugi dzień napelamy drugie sietko, nazajutrz trzecie. Po trzech, maksymalnie pięciu dniach ziarno na pierwszym sietku zacznie kiełkować. Żywnymy je więc nastawiając suchą pszenicę. W ten sposób codziennie otrzymamy świeżą porcję kiełków dla jednej osoby. Proszę pamiętać, że woda w szklankach codziennie musi być zmieniana na świeżą, o temperaturze pokojowej. Sietko z ziarnem nie powinno być zanurzone, ale woda musi lekko podsiąkać. Kiełki o długości kilku milimetrów, kiedy zaczynają zielenieć — są najcenniejsze. Jeśli nie możemy użyć kiełków, gdy są jeszcze młode, lepiej je wysuszyć, a potem zmieć.

Kiełki świeże można spożywać pokrojone sokiem cytrynowym. Ja proponuję...

SALATKĘ

Dwie szklanki kiełków, marchew starannie umytą i oczyszczoną, pokrajaną na kawałki, oraz małą cebulę miksujemy razem dodając trochę oliwy, żytkę winnego octu, lub soku cytrynowego. Na liście sałaty kładziemy po tyżce tej pasty, posypujemy papryką i posiekaną natką pietruszki. Do tego podajemy ją ugotowaną na twardo, pokrojone w cząstki i razowy chleb.

(LE)



APARAT — JAKI JEST?

Temat aparatu partyjnego, niezależnie od reakcji na krytyczne uwagi, nie powinien być sferą zakazaną — tak stawiając sprawę, redakcja „TU I TERAZ” rozpoczyna publikację polemik, które wywołał artykuł Stanisława Kwiatkowskiego w nr 35. Społeczeństwo, co zrozumiale, często przez przyrządy aparatu, niekiedy nawet jego pojedynczych przedstawicieli, ocenia partię. Nie przebiegał jeden z dyskusyjantów „TIT”, że temat „aparatu partyjnego” w wielu środowiskach jest stale aktualny.

SPRAWA

DOBOSZYŃSKIEGO
Nazwisko Adama Doboszyńskiego powojennym roznikiem z pewnością nie nie mówi. Kilka tygodni temu „TU I TERAZ” wywołało przypomnienie tej postaci wiele szumu. W paru pismach ukazały się artykuły, w których się sprawa Doboszyńskiego, w tym także takie, które próbowały go bronić i wybielać. W roku 1937 Doboszyński zorganizował marsz bojowników faszystowskiej na Myślenice, w czasie wojny wydawał w Anglii pismo głoszące polski nacjonalizm i antysemityzm, po wojnie sąd wojskowy skazał go na karę śmierci za rzekomo (bo nie udowodniono tego zarzutu — jak twierdził K. Kozłowski), współpracując z wywiadem niemieckim.

POMYSŁ

NA WIELKĄ PŁYTĘ...
W spadku po latach siedemdziesiątych pozostał nam 163 fabryki domów (najwięcej w Warszawie, na Śląsku, w Gdańsku i Krakowie). Nieraz wszystkie one pracują dzisiaj „na pół gwizdka”, zatrudnienie spadło do połowy w porównaniu z 1979 r. W kontekście chronicznego i doskwierającego braku mieszkań jawi się to jako piramidalny paradoks — stwierdza Andrzej Pawlik w „PRZEGŁADZIE TYGODNIOWYM”. Dwadzieścia spośród tych fabryk domów, korzystając z możliwości, jakie daje reforma, pożąłano się z macierzystymi i „jest na swoim”. Fabryki te podjęły produkcję (dla tzw. szerokiego rynku) rzeczy poszukiwanych jak np. drewno, płyty chemiczne, krawężniki, a także prefabrykatów dla budownictwa jednorodzinnego.

SZTUCCE —

TEN RARYTAS!
Wprawdzie zawsze ważniejsze będzie, co jest, niż, czym jest, ale lepiej, żeby tego drugiego problemu w ogóle nie było. A jest! W jednej z komedii filmowych przed paru laty oglądaliśmy scenkę: klient baru mlecznego jedząc, posługiwali się sztucznymi przemocowymi łańcuchem do stolika. Ta wizja — i to już śmieszne nie jest — okazała się nie-malże proroczą. W niektórych stołach, barach i restauracjach pobierana jest kaucja (50 zł) za nieszczerzy widelec i nóż. Urszula Zatorska opisuje w „ZYCIU GOSPODARCZYM” swą wizję z producentów nakryć stołowych w Siojadach k/ Mińska Mazowieckiego i w „Gerlachu” (Drzewica). Otucha to nie napawa...

MIASTO —

UTOPIA
„Auroville jest miastem w pełnym tego słowa znaczeniu, chociaż bardzo różniącym się od miast europejskich. Aby tam żyć, nie trzeba być jogą, ani ascetą. Trzeba natomiast od nowa uczyć się żyć w zgodzie z odwiecznymi prawami, jakim podlegamy będąc dziećmi wszechświata, zrzecząc się z przekonania, że jesteśmy panami tego świata, a nie jego częścią.”
Auroville jest określane jako miasto przyszłości, czy też Miasto Prawdy. Rzeczywiście istnieje i leży w Indiach nad Zatoką Bengalską. Reportaż z tego dziwnego miasteczka napisał Jacek Kryś, a zamieszcza go „KOBIETA I ŻYCIE”. No i nie jest to „Prima Aprilis! Chciałaby dusza do raju...”

WOJCIECH NATANSON

UPOMINA SIĘ O HOTELE KRAKOWSKIE
Tygodnik „Veto” drukuje list-apel albo raczej protest zwanego krytyka w sprawie polskiego hotelarstwa, w tym zaś szczególnie krakowskiego. Albert Camus napisał podczas wojny, że Kraków należy do 4 najpiękniejszych miast naszego kontynentu. I wciąż nie przestaje być atrakcyjny dla swoich (którzy na jego murach uczą się historii) i cudzoziemców (w tym licznych przedstawicieli Polonii, tęskniących do widoku Wawelu i kościoła Mariackiego). Czy doprawdy przeszłość w spełnieniu nie raz marzeń całego życia ma być... brak hotelu?

JANUSZ HÄNDEREK

Zwierzchnia kamerdynera angielskiego następcy tronu (4)

Najpiękniejsza podróż, jaką odbyłem w życiu, to była jego podróż poślubna po Morzu Śródziemnym jachtem królewskim „Britannia”. Powitanie w Gibraltarze 1 sierpnia to niezapomniane wrażenie.

Na pokładzie jachtu nastał spokój, była to dla mnie zapowiedź, że powoli staje się zbędny. Po raz pierwszy od lat książę spał jak długo mu się podobało. Nie potrzebowałem czekać rano na jego dzwonek, by posłać stewarda do śniadania.

Nia mógłby przyjąć książę, a wtedy nie z zabawy, atmosfera stanie się sztywna. Diana przynależała nam raczej, ale pozostała.

Nastój urlopowy tylko raz został zakłócony z oficjalnego powodu. Kiedy przybyliśmy do Port Said w Egipcie na pokład wszedł prezydent Sadat i jego małżonka. Przynieśli podarunki ślubne. Dla księcia złotą puszkę i biżuterię dla księżniczki.

Następna noc była zarazem ostatnią na pokładzie jachtu. Przed zejściem na ląd odbyła się na statku wesoła zabawa. W Hurghade, u wejścia w

Niesłychany boom na Zachodzie, szaleństwo niemal na skalę globalną — AEROBIC — bije wszelkie powodzenie. Trzy eksperymenty (już nie tak młode i nie tak piękne) propagujące tę nową metodę, ponoc uniwersalną i mającą sprzyjać zachowaniu piękności oraz pełni sił vitalnych, zdobyły dzięki swej pomysłowości nowy rozgłos i nową fortunę. Mowa tu oczywiście o prekursorkach gimnastyki aerobice, które są znane dziś całej Europie i Ameryce: Jane Fonda (45), Sydney Rome (38), na zdjęciu, była gwiazdka hollywoodzka, modelka magazynu „Playboy”, wreszcie Marlene

AEROBIC

— odwrotna strona medalu

Charell (prawdziwe nazwisko Angela Mięps) (38), znana z występów w paryskim kabarecie „Lido”. To zgodne trio krzyczy: „Ruch to najlepsza medycyna”.

Jak każde masowe szaleństwo, aerobice też ma swoje ujemne strony. Do grup ćwiczeniowych zapisują się tysiące kobiet bez względu na wiek i stan zdrowia. Ćwiczenia są prowadzone intensywnie — i pierwsze fatalne skutki dają już o sobie znać.

Kolejny profesor medycyny z Freiburga, Armina Klümpera uważa, że „aerobicowa psychoza jest katastrofą dla zdrowia”. Duże obciążenia dla organizmu szkoda przede wszystkim ścięgnom, stawom i kręgosłupowi. „Czekam na pierwsze ofiary śmiertelne aerobice” — powiedział Karl Bellmer z Zachodniemieckiego Związku Sportowego — w wyniku których znowu podniosą się głosy, że sport szkodzi zdrowiu!”

Statystyka wykazała, że żadnych wątpliwości, że przeciętny sportowiec nie żyje wcale dłużej niż człowiek nie uprawiający sportu. Faktem natomiast jest, że sportowcy wyczerpani zapadają częściej i wcześniej na chroniczne schorzenia, bądź też stają się inwalidami częściej niż ich rówieśnicy nie uprawiający sportu wyczynowego. Dotyczy to przede wszystkim schorzeń serca i płuc.

Hasło głoszące, iż „ruch jest najlepszym lekarstwem” nie znajduje

(A. S.)

Karol,
Diana
i ja...



Morze Czerwone, opuściliśmy statek.

Przez całą podróż towarzyszył nam drugi statek płynący w odległości kilkuset metrów. Od czasu do czasu doganiał nas i przekazywał nam pocztę. Poza tym byliśmy na morzu sami. Płynęliśmy wzdłuż brzegów północnej Afryki, nie widzieliśmy nigdzie ani kłosa człowieka. Każdego dnia parę książęcych odwiedzał admirał i informował o pogodzie oraz o aktualnej pozycji na morzu. On też wybierał trasę se spokojnymi plażami i najpiękniejszymi wyspami, na których spokojnie mogli urządzić sobie piknik. Niekiedy zatrzymywaliśmy się na pełnym morzu, marynarze wpuszczali do wody liny, drabiny i łódzie, tak, że mogliśmy popłynąć. Książęca pływała w bikini na jednym końcu jachtu, a żałoga na drugim. Książę nie brał w tym nigdy udziału.

Pewnego razu służba zorganizowała dla kilku osób z załogi statku wieczorek zakrępanij pociemem. Admirał był bardzo zaskoczony, że oprócz niego zaprosiliśmy też maszynistów. I nagle weszła Diana. Chciała wiedzieć, co tu się dzieje. Gdy jej wyjaśniliśmy, wyraziła chęć pozostania z nami. Oczywiście byliśmy zachwyceni, ale daliśmy jej do zrozumienia, że w ślad za

KRZYŻÓWKA

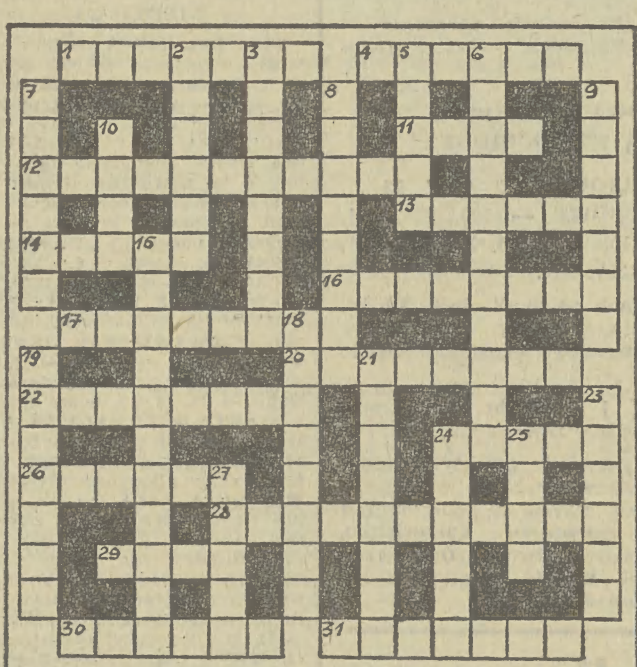
Drogi Czytelnio, w ubiegłym tygodniu obok tego krzyżówki wydrukowaliśmy diagram, który autor zdecydował się już dawno odstawić do lamusa (a myśmy nieśwety w porę nie wyrzucili do kosza i rzecz się zemsila). Pozbawiliśmy Państwa cotygodniowej porcji rozrywki, co nie o-mieszkałicie — słusznie — oprotosować. Serdecznie przepraszamy i... obiecujemy poprawę.

Poziomo: 1. przest. — przewaga, wyższość nad kimś, 4. Ujejskiego, „Z dymem pożarów...”, 11. okropna Jaga, 12. oficer szwoleżerów, uczestnik kampanii napoleońskiej, 13. arcyteńskie obszary Euro-

azji, 14. okrywa bohatera, 16. niedołęga, 17. twórca „I Proletariatu”, 20. epoka Odrodzenia, 22. ceny nie na przeciętną kieszeń, 24. jej podobny przyniósł sławę Cezarowi, 26. cukier na torcie, 28. spadek uczuć, 29. tytuł, stanowisko mają dla niego najwyższą wartość, 30. do dziś najpopularniejszy polski komediopisarz, 31. kraj idylliczny, sielankowej szczęśliwości.

Pionowo: 2. wprowadza zmiany do ustawy, 3. przewozi miliony a gang robi napad, 5. dla mniha, 6. egzotyczne przegrody samolotu, 7. gromadzi pisklety, 8. przegotowane do snu, 9. osłona z wzniosłych hałas, 10. częstoprzeży, 15. w uznaniu zasług, 18. pseud. Alkar, międzywoj. adwokat warsz., historyk i poeta (przekłady Heinego), 19. refleks zachodzącego słońca, 21. za mało, 23. kształt UFO, 24. najpiękniejsza z rod. antylopy, 25. służby do odpalania broni palnej, 27. w kartach — gra zakochana o-bliczaniem punktowy.

Rozwiązania prosimy nad-



słać do dnia 4 XI 1983 r. (decyduje data stempla pocztowego) z dopiskiem na kopercie: „Krzyżówka nr 42”.

Wśród czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, redakcja rozlosuje nagrody w postaci 10 książek.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 40

POZIOMO: 1. koronki, 4. wroki, 11. mewa, 12. inwestycja, 13. koraie, 14. trawa, 16. rodynek, 17. palisada, 20. okojstwo, 22. margines, 24. poker, 26. kobalt, 28. aktualności, 29. kult, 30. szaman, 31. świadek.

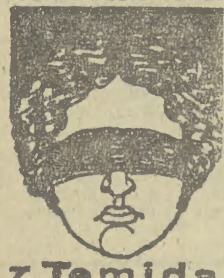
PIONOWO: 2. opaska, 3. Katylnia, 5. rumak, 6. towarzystwo, 7. kwiaty, 8. Czuchraj, 9. żyletka, 10. owo, 15. wilegiatura, 18. dostatek, 19. smakosz, 21. Czapaiew, 23. krajna, 24. Panama, 25. kość, 27. Tatra.

NAGRODY WYLOSOWALI

Za prawidłowe rozwiązanie zadań w krzyżówce nr 40, z dnia 15/16 X 1983 r. książki otrzymują: A. Cyba, I. Morozynska, K. Czechowicz, M. Witkowi, A. Treja, J. Pytel — Kraków, Z. Mosur — Ojców, S. Leśna — Rabka, G. Urbanowska-Wierchomla, J. Oleksy — Płwiczna.

Nagrody zostaną wysłane pocztą.

Zderzenia



z Temidą

Na początek fragment listu (z zachowaniem oryginalnego pisowni) nadesłanego przez 18-letniego Józefa B. na ręce prokuratora: „Przykro mi stwierdzić, że moje dotychczasowe życie mogę nazwać nie życiem a vegetacją, tulaćką i na każdym kroku domagaję goręcej i czuję zawsze, że jestem dzieckiem niepotrzebnym i zawadającym każdemu. Nikt mnie nie kocha. Mam rodziców ale w efekcie ich nie mam i to od samych najmłodszych lat. Przy-

Zacytowałem ten fragment listu m. in. dlatego, że Józef B. spełnia wszystkie negatywne cechy młodego człowieka zaliczanego do społecznego marginesu. Iluż takich spotkać można na naszych ulicach, a już w szczególności w sądowych salach? Ludzi demoralizowanych, często niebezpiecznych dla otoczenia. Spotykają się oni z naszą dezaprobatą, rzadko natomiast usiłujemy zglebić przyczyny, które doprowadziły do życiowego wykołajenia młodego chłopca czy dziewczynki.

Ny. Nie jest truizmem twierdzenie, że w zdecydowanej większości przypadków winę za kryminalne perypetie osiemnasto- czy dwudziestolatków ponoszą przede wszystkim ich rodziny. Rodzinę uważając czasem za „przywilej” popełniają błędy wychowawcze, które owocują w okresie wchodzenia młodzieży w dorosłe życie. Rodzice najczęściej usprawiedliwiają siebie chętnie lansowanym sądem o nieszczęśliwej posiadani „trudnego” syna czy córki. Kiedy więc spotykamy się z kolejnym przykładem wykołajenia nastolatka, zanim zaczniemy się obrażać, zapytajmy najpierw, gdzie był jego rodzica, gdy pojawiali się pierwsze niebezpieczne oznaki demoralizacji, co robili, by nie dopuścić do

tragedii? Nie zapominajmy, że młodzież jest produktem naszych czasów i jeżeli ją oskarżamy, to bezwiednie oskarżamy samych siebie.

Przed dwoma laty Józef B. wówczas jeszcze niepełnoletni, wspólnie z dziećmioma również młodymi kompanami dokonał 43 przestępstw, przede wszystkim włamań i kradzieży. Łączna wartość łupów (m. in. włamania do kawiarni „Ypsilon” i „Barburka”, okradzenie kilku kiosków „Ruchu”) wyniosionych przez

Ważąc poszukiwania. Przez kilka miesięcy nie przyniosły one żadnych rezultatów, jako że Józef B. otrzymał siedmiodniowy przepustkę. Przyjechał do Krakowa. Głównym wieczorem dokonał dwóch przestępstw: zachował kradzieży na udającej się do pracy Urszuli K. i rozboju na Ewie B. Rozboju z użyciem noża. Kobiety zawiadomiły milicję. Pokazano im liczną zaliczanie notowanych w kartotekach przestępstw. Kobiety wskazywały na podobieństwo Józefa B.

Ważąc poszukiwania. Przez kilka miesięcy nie przyniosły one żadnych rezultatów, jako że Józef B. otrzymał siedmiodniowy przepustkę. Przyjechał do Krakowa. Głównym wieczorem dokonał dwóch przestępstw: zachował kradzieży na udającej się do pracy Urszuli K. i rozboju na Ewie B. Rozboju z użyciem noża. Kobiety zawiadomiły milicję. Pokazano im liczną zaliczanie notowanych w kartotekach przestępstw. Kobiety wskazywały na podobieństwo Józefa B.

nie powrócił do Zakładu Poprawczego. Dopiero w czerwcu br. milicja trafiła na ślad poszukiwanego listem gończym (w międzyczasie zdążył dokonać kilku kradzieży) młodego przestępcy. 30 czerwca br. Józef B. ujęty został w lasach koło Brzeska, gdzie złożył swoją „letnią” siedzibę.

Nie przynależał do popełnienia zarzucanych mu czynów, a w szczególności próby zachławy kradzieży i rozboju z użyciem noża. W myśl prawa Józef B. jest już mężczyzną dorosłym i za swoje czyny odpowiada nie przed Sądem Rodzinnym lecz przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie. Zarzuca się mu przecież dokonanie rozboju, który jako przestępstwo szczególnie niebezpieczne, podlega surowym rygorom prawa.

Oczekując na przewód sądowy Józef B. pisze listy. Suka zrozumienia, może usprawiedliwienia. Trudno wykluczyć, że są potrafiące specyficzne warunki, w jakich wychowywał się oskarżony, za okoliczność łagodzącą, ale za popełnione czyny Józef B. będzie musiał ponieść odpowiedzialność. Nie poniosą jej jego rodzice, którzy zapewne uważają, że na spłodzeniu i urodzeniu dziecka zakończyła się ich „dziejowa” misja, zakończyła się też szczególne obowiązki...

Nikt mnie nie kocha...